Nr. 11. Lwów, Niedziela dnia 14. Marca 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

XI.

Cześć poetom!

Obchód uczczenia pięćdziesięciu lat prac i zasług Seweryna Goszczyńskiego, możemy śmiało nazwać jednym z najważniejszych u nas wypadków w roku bieżącym. Treścią tego rodzaju obchodów, przez pseudo konserwatystów zazwyczaj czczemi demonstracjami nazywanych— tem co im wyższe moralne nadaje znaczenie, co z nich czyni prawdziwe „evenement" w życiu naszem, jest „myśl" jaka się w nich wyraża. Bo cokolwiek by mówili bezwarunkowi czciciele samych tylko sił materjalnych — potęga myśli, jaką się ogół przejmuje jest tak wielką, iż ostatecznie zwyciężyć ona musi, chociażby wielkie przeszkody przełamywać trzeba, chociażby na to zwycięstwo długie dziesiątki lat czekać przyszło.

Ktokolwiek uważnie przeczytał opisy obchodu jubileuszowego, zgodzi się, iż był on przedewszystkiem hołdem oddanym patrjotycznej a ludowej idei, którą Goszczyński reprezentuje i całem życiem swem stwierdzał, hołdem oddanym niezłomnemu a jak brylant czystemu charakterowi jego, hołdem wreszcie oddanym „poezji." Przyjęto słusznie u nas zasadę, iż miara „siły", jaką w sobie naród wytworzy, jest zadatkiem jego przyszłości. Ale przyjąwszy ten pewnik należy unikać jednostronności w zastosowaniu jego, należy pamiętać o tem, że w szemacie sił narodu jest także siła uczucia, zapału patrjotycznego — której brak staje się nieraz powodem upadku narodu. Wzmagając materjalną i intelektualną potęgę narodu, pielęgnować trzeba obok niej ową siłę uczucia i zapału, bo gdy jej zabraknie, tamte mogą łatwo okazać się bezowocnemi i pozostaną ukryte, nieużyte, skoro nie znajdzie się moc ducha, któraby je powołała do czynu. A właśnie poezja nasza narodowa jest najdzielniejszym czynnikiem, z którego ta siła powstaje.

W chwili jak obecna, kiedy potężne lutnie starych naszych wieszczów zamilkły, a epigony nie dorośli mistrzów — cześć oddana tym wieszczom to także czyn „pracy organicznej". I dla tego na wstępie nazwaliśmy obchód jubileuszu Goszczyńskiego nie demonstracją, ale „ważnym wypadkiem". Przy tej sposobności jednak przypomnieć chcemy ogółowi naszemu sprawę, przed kilku laty poruszoną, a od dłuższego czasu niestety zapomnianą. Mamy na myśli wystawienie pomnika trójcy największych naszych poetów: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. O ile wiemy jest już mały fundusz na ten cel zebrany ze sprzedaży „Trzech rozpraw" Karola Libelta. Fundusz ten — chociażby nawet cały nakład sprzedano — nie może wystarczyć na wystawienie pomnika ani też usiłowania „jednego" człowieka, który się tą sprawą zajmuje nie będą dostateczne. Trzeba koniecznie stworzyć siłę zbiorową, któraby się tem zajęła, w miejsce prywatnych zbiorowe usiłowania ku temu celowi zwrócić. Czy już w tej chwili, kiedy zajęci jesteśmy zbieraniem składek na zakupno Unji Matejki, złożenie komitetu celem wystawienia pomnika byłoby na czasie — zostawiamy to jako kwestję otwartą. Chodziło nam o przypomnienie ogółowi tej sprawy, a może się znajdą chętni, którzy zechcą ją poprzeć i wziąć w ręce.

Pomnik ten stanąć powinien we Lwowie. W Warszawie stawiać go nie można. Poznań ma pomnik Mickiewicza. Kraków cały jest jednym wielkim pomnikiem przeszłości naszej — przemawiającym żywo do patrjotycznych uczuć ludności. Lwów tylko jeden — prócz nieszczęśliwie ustawionego hetmana Jabłonowskiego, nie ma nic prawie, coby ludności przypominało, że to miasto polskie, coby do niej przemówiło. Pomnik trójcy wieszczów naszych stanąć przeto powinien we Lwowie, bo tu największa jest tego potrzeba. W sali sejmowej Unja polityczna na świetnem płótnie Matejki — na placu publicznym Unja duchowa jaką reprezentuje Litwin Adam, Rusin Juljusz a Mazur Zygmunt — o to warto zaprawdę, żeby się miasto nasze pokusiło. Będzie to nietylko czcią oddaną poetom — będzie zarazem nieustanną, żywo do umysłów przemawiającą propagandą polskiej myśli.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

II.

(Ciąg dalszy.)

Trzeba było rozstać się z panami akademikami. Ale zrzekłszy się oficjalnej obsługi, Jędruś umiał zawsze znaleźć trochę czasu, by dawnym swoim panom czy wodę przynieść, czy po tytuń lub bułki skoczyć do miasta, a za to wyprosił sobie u nich, że go wieczorami uczyli czytać i pisać. Miał on wielką ciekawość do książek i zaledwie poduczył się trochę składać litery, wnet z zapałem jął się do czytania; czytał co mu wpadło pod rękę; lada kawałek zadrukowanego papieru znaleziony na drodze brał do kieszeni i wieczorami przy łojowym ogarku lub lampce, którą co piątek palono w warstacie przed obrazem serca Jezusowego, męczył się nad odczytywaniem znalezionego świstka, wprawiając się w ten sposób coraz więcej w czytanie. A gdy te głośne ćwiczenia niedawały spać jego towarzyszom i pan majster sam krzywo się patrzał na te nocne ślęczenia chłopca i zakazał mu to stanowczo; więc Jędrek w sekrecie przeniósł się dla dalszego kształcenia się do kuchni, gdzie kucharce odczytywał z sennika wyjaśnienia snów, przepowiednie z planet i numera a następnie żywot świętej Genowefy i inne ciekawe książki, którym ona przysłuchiwała się z wielkiem zajęciem i chętnie podejmowała na siebie koszta oświetlania rurkowaną świecą tej nocnej czytelni, jako też wypożyczania coraz nowych książek; przyczem lektorowi za fatygę dostały się nieraz smaczne jakie resztki z objadu a często i trojak na pierniki. Zamiast pierników Jędruś kupował sobie papier i ołówki i kreślił z wielką pilnością litery. Z początku były to dziwolągi krzywe i niezdarne, ale powoli oko i ręka coraz

więcej nabywały wprawy i z czasem wcale nie złe wyuczył się stawiać litery a nawet od biedy mógł już i list napisać. Pierwsze próby udały się nadspodziewanie i odtąd niepiśmienna czeladź warstatowa używała Jędrusia do koncypowania i pisania listów do rodziny, powinszowań a nawet oświadczyn miłośnych, za co zyskiwał nie tylko trojaki ale i względy wielkie. Przypuszczano go do delikatniejszych robót, pokazywano chętnie, jak co robić należy, jak obchodzić się z różnemi narzędziami, dawano mu dla wprawy kawałki do samodzielnego wyrobienia i w ten sposób przy wrodzonych zdolnościach i pilności nauka jego postępowała szybko. Po paru latach umiał już tyle prawie, ile czeladnik umieć był powinien.

Pan Tatarkiewicz jednak nie spieszył się z wyzwolinami raz dlatego, że Jędruś był mu bardzo wygodny w warstacie, nie miał więc ochoty pozbywać się takiego robotnika, który bezpłatnie robił mu to, co każdy czeladnik,— a powtóre, że Jędruś był jeszcze bardzo młody i nie wysłużył lat przepisanych ustawami cechowemi. W dowód jednak łaski swojej pozwolił mu uczęszczać na wieczorne rysunki przeznaczone dla rzemieślników, gdyż Jędruś do tego wielką zawsze pokazywał ochotę. Utalentowany chłopak umiał korzystać z tego pozwolenia, z zapałem wziął się do nauki i po roku rysunki jego obudzały podziw w warstacie. Były to rysunki tyczące się fachu stolarskiego, jako to: ozdoby i narożniki, modele różnych mebli i fornierów. Rysunki te umiał Jędruś równie zgrabnie wykonywać na drzewie i prześcignął w tem najlepszych czeladników. Odtąd jemu oddawano najtrudniejsze roboty ornamentowe.

Nadszedł nareszcie czas, w którym pan Tatarkiewicz nie mógł już dłużej zwlekać wyzwolin Jędrusia bez narażenia się na obmowy i złe domysły. Egzamin ucznia nie tylko zadowolił, ale w zdumienie wprawił cechowych, to też w liście wyzwolin po słowach: „wzmiankowanego młodzieńca uwalniamy“ dopisano mu chlubne pochwały, pomimo że to nie było w zwyczaju, a jeden z cechowych zrobił wniosek, że wartoby tak zdolnego ucznia wysłać za granicę dla dalszego kształcenia się kosztem cechu, ku czemu był osobny fundusz w ladzie cechowej odkładadany. Ale wniosek ten nie utrzymał się, bo pan Tatarkiewicz starał się już od kilku miesięcy o to stypendjum dla krewnego swej żony i miał już słowo kilku majstrów, że go w tem będą popierali, co się też rzeczywiście stało.

To oburzyło Jędrusia do żywego. Znał on swoją wartość i wyższość na innymi i miał nadzieję a nawet pewność otrzymania funduszu za granicę; to też zawód w tym względzie uważał za krzywdę wyrządzoną sobie, a postępowanie cechowych nazwał nieuczciwem. Niespokojny i ambitny umysł jego począł już zdradzać swoje buntownicze usposobienie i gwałtowność. Opuścił gospodę zły i rozdrażniony, nie dopełniwszy zwyczajów przyjętych przy wyzwolinach jako to: całowania klucza, rozdawania podarków, częstowania etc. A gdy go upominano, że należy dopełnić tych formalności, że cała gospoda czułaby się obrażoną tem zaniedbaniem, odrzekł opryskliwie i z lekceważeniem, że nie myśli zalewać im gardła za to, że został tym, czem mu się dawno już być należało. Takie lekceważące pominięcie zwyczaju uświęconego tradycją usposobiło źle przeciwko nowemu towarzyszowi czeladź całą, szczególniej tych, którzy nie pomijali żadnej sposobności upicia się cudzym kosztem. Ci czuli się pokrzywdzeni i obrażeni podstępkiem Jędrzeja Dyla. Więcej jeszcze zaszkodziło mu że tego samego dnia pod wpływem żalu, jaki miał do swego pryncypała, opuścił jego warstat. Było to już targnięcie się nie na zwyczaj, ale na ustawy cechowe, które wyraźnie nakazywały, że czeladnik najmniej cztery tygodnie obowiązany jest pracować u majstra, który go wyzwolił. Przestąpienie tego nakazu było aktem niewdzięczności i nieposłuszeństwa i zuchwały ten krok miał zgubne następstwa dla nowego wyzwoleńca i popchnął go na nielegalną drogę. Odtąd życie jego było nieustającą walką z ustawami cechowemi, do których hardy umysł zastosować się nie chciał i nie mógł. Żaden bowiem z majstrów bez obrażenia cechów i narażenia się nie mógł go przyjąć do swego warstatu, dopókiby formalności zastrzeżonych ustawami nie dopełnił, a że tego ustępstwa zrobić nie chciał, więc mimo zdolności i pracy został bez zajęcia i czeladź nie przyjęła go do swego grona.

Nie pozostawało mu tedy nic innego, jak opuścić Kraków i udać się na wędrówkę. Była to wędrówka nielegalna, odbywał ją nie jako członek cechu i gospody nie były obowiązane dawać mu przytułku ani roboty, bo wędrował bez świadectw, bez tak zwanego kundszaftu tj. książeczki czeladnej i przez cechy uważany był za prostego włóczęgę. Pracował więc tylko po fabrykach, które za granicą już powoli oswabadzały się od zależności cechowej i nie przestrzegały tak bardzo tych formalności. Przebył w ten sposób lat kilka za granicą i skorzystał pod względem fachowego wykształcenia daleko więcej, niż gdyby był pracował po małych warstatach majstrów. Mimo to za powrotem do kraju nie mógł znaleźć żadnego stałego zatrudnienia dla siebie; cechowi go przyjąć nie chcieli, a policja zabroniła mu przebywać w mieście i podejmować roboty bez pozwolenia cechu. Był więc zmuszony wyjechać na wieś i po dworach i plebanjach lub małych miasteczkach szukać zajęcia lub utrzymania. Mógłby był uniknąć tej ostateczności, gdyby był chciał ugiąć karku, przeprosić starszych cechu i poddać się ich ustawom; dano mu nawet poznać, że nie będą mu stawiać wielkich trudności w przebłaganiu obrażonych, ale zacięty w swoim uporze nie chciał zrobić tego ustępstwa. Owszem, stanowisko wrogie, jakie zajął względem cechów, zdawało się sprawiać pewne zadowolenie niespokojnemu i burzliwemu duchowi, a przeciwieństwa roznamiętniały go i pobudzały do czynności. Miał osobliwsze upodobanie iść przeciw prądowi i kto wie czy ta pasja właśnie nie skłoniła go do porzucenia fabryk zagranicznych, gdzie miał przecież wcale nie złe utrzymanie i powrotu do kraju, w którym z takim trudem przyszło mu zapracowanie sobie na kawałek chleba. Przeciwności były ostrogą dla niego, ponętą prawie. Wiedział, że obecność jego będzie cechowi nie na rękę, że będzie wielu kłuć w oczy i dlatego wrócił, na złość ludziom i wbrew ich woli. Chciał im pokazać, że bez zezwolenia cechu i żyć i pracować może. Była to walka nierówna. Z jednej strony stawał człowiek pojedyńczy bez zasobów materjalnych, nie poparty przez nikogo, z nowatorskiemi jakiemiś tendencjami, z drugiej strony stała instytucja mająca za sobą tradycję i prawo, zastęp uorganizowany i solidarny wspólnością interesów. A choć wielu już w głębi duszy uznawało, że instytucja ta jest spruchniałą i przestarzałą, że ustawy jej ułożone kiedyś dla popierania rzemiosł i przemysłu, dziś tamują tylko i krępują rozwój ich, to jednak nikt nie miał odwagi jawnie wystąpić z tem zdaniem, a tem mniej stanąć w obronie pokrzywdzonego, zwłaszcza że Dyl nie umiał sobie zjednywać życzliwości ludzkiej; owszem miał nawet można powiedzieć talent robienia sobie nieprzyjaciół. Najłagodniejszych i najpobłażliwszych zrażał sobie szorstkiem obejściem i hardością. Walka więc, jaką wypowiedział cechom, jakkolwiek prowadzona z jego strony z niesłychaną zaciętością i energją, była bezsilną. Wprawdzie wbrew cechom znajdował wszędzie pracę na prowincji, która wcale dobre dawała mu utrzymanie, ale nie mógł wyrobić sobie żadnego stanowiska i w oczach cechów był tylko pokątnym partaczem. To go gryzło, martwiło i próbował inną drogą przyjść do majątku i znaczenia, przez szczęśliwą żeniaczkę.

Nie długo nadarzyła mu się sposobność. Pracując na plebanji u pewnego starego proboszcza poznał się był z jego, jak mówiono, siostrzenicą. Dyl przypuszczał bliższe pokrewieństwo i miał nadzieję, że przez małżeństwo dobierze się do szkatuły księdza, którego w okolicy uważano za bardzo bogatego. Oświadczył się więc i niedługo potem ożenił z panną już nie zbyt młodą, nie ładną; ale cichą i potulną, łagodną i wcale nie źle wychowaną. Dyl nie zważał ani na brak urody, ani na dobre przymioty, jedno i drugie było mu dość obojętne, szło mu głównie o majątek. Ale się zawiódł grubo w swoich rachubach, bo ksiądz oprócz dość przyzwoitej wyprawy i kilkudziesięciu guldenów zapomogi na pierwsze potrzeby, nic więcej nie dał, a cały swój majątek przeznaczył na różne dobroczynne fundacje. Zawód ten zgryzł mocno Dyla, bo pokrzyżował całkiem jego plany i zamiast polepszyć, pogorszył jeszcze jego położenie a pierwszą ofiarą jego zgryzliwości i złego humoru była żona, którą uważał za główną przyczynę swego nieszczęścia i zawadę. Ale łagodna ta i cicha kobieta umiała uległością i cierpliwością nie tylko uspokoić męża, ale nawet zyskać sobie powoli jego przywiązanie. Dyl nazywał ją szorstko, głupią gęsią, która jest do niczego, ale mimo to przyznać musiał w głębi duszy, że to jest jedyna mu życzliwa istota, dla której on coś znaczy, której jest potrzebnym i która jemu nawzajem stawała się coraz bardziej potrzebną. Było to pierwsze ocknienie się uczuć rodzinnych, których dotąd nie znał wiele a za tem poszła nie zadługo potrzeba jakiegoś domowego ogniska. Wędrowny ptak pomyślał o gnieździe. W małej

mieścinie jakiejś w Galicji osadził żonę a sam chodził za robotą, jak dawniej; jednak chodzenie jego teraz nie było już włóczęgą, ale chwilowem wyjściem z domu, do którego wracał z zarobkiem na odpoczynek i rozweselenie. Kącik ten jeszcze więcej nabrał dla niego wartości i uroku gdy przyszły dzieci. Widok ich oprócz miłości rodzicielskiej obudził w ambitnym człowieku nowe pragnienia, które szły o wiele wyżej, niż wszystkie dotychczasowe jego marzenia i nadzieje. Powiedział sobie, że dzieci jego muszą zrobić świetny los, muszą wyjść wysoko i odtąd żył tylko dla tej myśli i pracował w pocie czoła nad jej urzeczywistnieniem. Wszystko dla dzieci i wszystko przez dzieci, to był program jego życia i oddał się temu cały, z namiętnością i energją. Zapomniał o własnych potrzebach, o własnem zdrowiu, pracował prawie nad siły, byle tylko zarobić jak najwięcej pieniędzy, dla dzieci, dla kształcenia ich i wykierowania, jak mówił, na ludzi.

A dzieci było troje: Jan, Józef i Marja. Na dziewczynę mniej zwracał uwagi ojciec, mniej dbał o jej wychowanie. — Dziewczyna byle piękna — mawiał do żony — zrobi los w świecie i bez nauki; ale chłopcy naukę mieć muszą, bo nauka zrobi ich panami.

— Żeby tylko byli uczciwymi ludźmi — dodawała wtedy cicho bogobojna Agata, — to nam wystarczy.

— I przy uczciwości chodzili bez butów jak tylu innych? Oni muszą być panami, muszą dobić się stanowiska wysokiego. Dlatego pracuję jak koń i pracować będę jeszcze drugie tyle, jeżeli tego będzie potrzeba, byle tylko moje dzieci doszły tam, gdzie ja nie mogłem, bo mi brakowało nauki, brakowało mi wszystkiego. Im nie będzie na niczem zbywać, nie będą musieli tak bić się z losem, jak ich ojciec; będę im pomagał póki mi sił starczyć będzie; reszta od nich zależy.

Tak mówił żonie, tak powtarzał dzieciom i groźbą i prośbą napędzał ich do książki, do nauki, wpajając w nie ciągle wstręt i pogardę dla stanu, w którym się urodzili i pragnienie wywyższenia się.

Dla dalszego jednak kształcenia się dzieci trzeba było przenieść się do Krakowa, gdzie pobyt był mu wzbroniony ze względów, o których mówiliśmy wyżej. Aby mógł wrócić trzeba było pogodzić się z cechem, upokorzyć się, przeprosić i poddać ustawom. Dyl zrobił i tę ofiarę dla dzieci, ugiął karku w nadziei, że kiedyś będzie mógł wyżej jeszcze podnieść głowę do góry i pomiatać tymi, którym teraz chwilowo ulegać musiał.

Ale nie długo wytrwał w tej uległości, zwłaszcza, że pokazała się dla niego zbyteczną i niekorzystną, bo pogodzenie się z cechami krępowało go tylko w pracy i umniejszało dochody. Ustawa bowiem cechowa przepisywała pewną stałą tygodniową zapłatę za robotę. Dyl do tego przepisu zastosować się nie chciał; cenił wyżej pracę swoją, wiedział, że więcej niż inni zarabiać powinien i wymagał odpowiedniej zapłaty. A że na to przystać nie chciano, więc znowu zerwał z cechem i począł pracować na własną rękę. Roboty mu nie brakło, dostarczali mu jej żydzi handlujący meblami i płacili za nią dobrze z powodu trudności, jaką mieli w dostaniu robotników. Ustawa bowiem cechowa nie tylko usuwała żydowskich rzemieślników od udziału w cechu, ale nadto zabraniała katolickim czeladnikom pracować u żydów i dla żydów. Żaden porządny majster ani czeladnik nie byłby się zdecydował na to, bo praca taka oprócz tego, że była niedozwoloną, była także uwłaczającą. Ale Dyl niedbał na to, jemu szło tylko o dobry zarobek, któryby mu pozwolił wychować dzieci i posyłać je do szkół, a że żydzi dawali mu taki zarobek, więc pracował dla nich. Ażeby zaś nie zwracać uwagi cechu i usunąć się z pod jego władzy, wyniósł się na mieszkanie na Kaźmierz — do klasztoru księży Paulinów na Skałce. W opustoszałych obszernych izbach. które wynajął za tanie pieniądze, urządził warstat i spólnie z kilkoma czeladnikami, którzy dla różnych powodów byli także w niezgodzie z cechem, wyrabiał hurtownie meble dla żydów. Ale nie zadługo cech wytropił go w tej kryjówce, a że pracowanie po za warstatami majstrów na własną rękę było czeladnikom surowo zabronione, więc komisarz policji zjawił się pewnego dnia z pachołkami i starszymi cechu w mieszkaniu Dyla, warstat zapieczętowano, narzędzia zabrano a jego samego skazano na karę pięćdziesięciu guldenów.

Położenie było krytyczne, rozpaczliwe. Cech tryumfował a Dyl był zrujnowany i bez sposobu do życia. Nędza zajrzała do jego domu, nie było z czego żyć a tym mniej można było myśleć o dalszem kształceniu dzieci. Zdawało się, że nie ma sposobu wyjścia z tego położenia. Dyl jednak nie rozpaczał, nie opuszczał rąk, w najprzykrzejszem położeniu zamiast lamentować przebiegły i energiczny ten człowiek szukał jak lis przyparty do muru dróg wyjścia i wtedy, kiedy każdy inny straciłby głowę, umysł jego stawał się najczynniejszym i najpłodniejszym w pomysły, i wynajdywał sposób zaradzenia złemu. Tego samego dnia, w którym zapieczętowano mu warstat, zrobił sobie plan nowy, postanowił wynieść się na wieś w pobliżu Krakowa, gdzie władza cechu już mu nic zrobić nie mogła, i zaciągnąwszy od żydów pożyczkę na nowe narzędzia i warstat pracować dalej; żona miała zostać w mieście dla dzieci i trudnić się praniem, aby w ten sposób opędzać potrzeby domowe. Resztę miał dodawać Dyl ze swego zarobku. Zrobiwszy to postanowienie wnet zajął się jego wykonaniem. Ale Dawid Mendel, jeden z handlarzy, któremu ten plan Dyla był nie na rękę, odwiódł go od tego zamiaru obiecując, że mu wyrobi pozwolenie zostania w mieście. Dla żyda nie było to bardzo trudną rzeczą. Mając dużo praw przeciw sobie, żydzi wyrobili w sobie niesłychany talent wykręcania się od ustaw krępujących ich czynności, przebiegłość ich umie wynaleźć tysiączne sposoby ominięcia przeszkód. Nie ma prawa, w któremby żyd nie umiał wyszukać szpary przesmyku, przez który jak wąż umie się prześlizgnąć. W trudnej walce o byt wyrobili w sobie giętkość i przebiegłość a przymioty te wraz z kapitałami, które posiadają, stanowią ich siłę. Dyl usiłował walczyć z ustawą, która gwałciła jego prawa, ograniczała jego wolność — i nie mógł podołać; co chwila usiłowania jego rozbijały się o twardą zaporę; żyd tylko podszedł ustawę i to mu się całkiem udało. Nie będziemy dochodzić w jaki sposób doszedł do tego, dość, że Dyl pozostał na dawnem mieszkaniu, i pracował jak dawniej a władza przez palce patrzała na to. Uwolniwszy się jednak z pod wpływu cechu, Dyl popadł w zależność Dawida Mendla. Żyd pamiętał dobrze wyświadczoną przysługę, i przypominał to Dylowi, iż ten, który mu umiał pomódz, będzie mógł mu także zaszkodzić, gdy zechce. Wyzyskiwał go więc w rozmaity sposób, traktował z góry, słowem był panem położenia; A Dyl musiał w milczeniu to wszystko znosić, ulegać żydowi, bo od tego zależał byt jego i przyszłość dzieci. Dzieci tych, jak już wspominaliśmy było troje. Córkę poznaliśmy już trochę z owej rozmowy przed wystawą jubilerską. Młodszy syn Józef przypominał po części matkę łagodnością charakteru, a przy tem był pracowity i ciekawy jak ojciec. Przesiadując w chwilach wolnych od nauki w warstacie i przypatrując się stolarskiej robocie, Józef pojął ją tak dobrze, iż mógł już pomagać ojcu i pracować wraz z czeladnikami. Robił to nawet bardzo chętnie; ale ojciec nie pozwalał na to i pędził go z warstatu do książek, do których znowu nie wiele pokazywał ochoty i zdolności. Życie ruchliwe, praca mechaniczna, zajęcia praktyczne więcej odpowiadały jego usposobieniu i miał wielką ochotę przejść na technikę. Ale ojciec chciał koniecznie z niego mieć doktora. Powodzenie, jakiego doznawało kilku lekarzy w mieście, rozpalało fantazję Dyla marzącego tylko o świetnym losie dzieci swoich i wbrew woli syna pchał go na drogę, którą sobie wytknął w myśli. Syn był posłuszny, i szedł tą drogą, ale bez zapału i energji, z czego ojciec był bardzo niekontent i nieraz cierpko wyrzucał mu brak ambicji. (C. d, n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Ciąg dalszy.)

III.

Zwróćmy się teraz do naszego narodowego malarstwa i rozpatrzmy się, ażali spostrzeżenia poprzednie, tyczące się wzajemnego oddziaływania poezji na malarstwo, znajdują potwierdzenie w sztuce naszej.

Narodową poezję zyskujemy dopiero po podziale kraju i jego państwowym upadku. Wywołuje ją genjusz narodu obudzony do życia żalem, poczuciem własnej winy, boleścią po straconej ojczyźnie, miłością ku niej i nadzieją w przyszłość. Wszystko co spało na dnie narodowej duszy, budzi się z pragnieniem życia i objawia w natchnionem słowie pieśni. Duch poezji naszej da się zawrzeć w słowie: Ojczyzna; jest ona pierwszą i ostatnią myślą narodu; mówi do nas z każdego wiersza; w każdem słychać ją słowie. Piosnka ulotna czy tomowy poemat, jedną myśl zawierają: ojczyzna; dźwięczna to i niewyczerpana struna, a choćby najboleśniej

*

zagrała, nie słychać w niej jęku zwątpienia, ale wykrzyk nadziei. Zasmuceni upadkiem politycznym nie zerwaliśmy jednak z przeszłością; owszem, przeciwnie. Nieszczęście kazało nam kochać przeszłość narodu, a ta miłość przeszłości jest jednym z górujących przymiotów narodowej poezji, obok wiary i świętego przekonania, że „Jeszcze nie zginęła!“ tym duchem tchną najwięksi narodu pieśniarze, a im który dobitniej przedstawił uczucia miłości ojczyzny i przeszłości, im większa wiara w przyszłość wieje ze słów jego, tem bardziej ukochał go naród, tem większą otoczył imię jego cześcią, tem chętniej dzieła jego uznał za pismo święte swej narodowej wiary. Toż do niedawna nie wolno było odezwać się słowem krytyki o pismach Adama, tego bożyszcza narodu, a Słowacki zawdzięcza swą niepopularność po części wystąpieniu przeciw Mickiewiczowi.

Słowo narodowej poezji było niesłychanej potęgi; pędziło ono w powstańcze boje, dawało oręż do ręki; wiodło na stracenie i w mury więzienia, a wśród klęsk i cierpień dawało otuchę, mnożyło wiarę w przyszłość.

Kiedy okres poezji minął; kiedy zmarli wieszcze narodu, wtedy wystąpiło narodowe malarstwo; a wystąpiło w imię tych samych uczuć, tego samego ducha, jak poezja, która je poprzedziła. Zyskaliśmy więc malarstwo z wyrazem miłości ojczyzny i przeszłości, a wiarą w przyszłość. Bo czy patrzymy na historję Matejki, czy na rysunki Grottgera; czy widzimy Wandę Piotrowskiego czy Cecorę Eliasza; czy oglądamy śmierć Czarneckiego Loeflera, czy też Rewerę Kossaka, zawsze i wszędzie znajdziemy jako ostatnią myśl: Nie zginęła!

Malarstwo nasze jest tak wyłącznie narodowe, że obrazy, któreby miały za treść jakieś zdarzenie z dziejów obcych, nas nie tyczące, są prawdziwemi rzadkościami, a jeśli się pojawią, nie zwracają na siebie uwagi, przechodzą niespostrzeżone i niecenione.

Im więcej czas oddala nas od chwil jakie poeci uwiecznili w pieśniach swoich, tem chętniej zwracamy się myślą ku nim; tem goręcej pragnęlibyśmy uplastycznić sobie stworzone przez nich postacie, bo fantazja narodu pragnie zobaczyć oczami ciała te ukochane dzieci natchnień narodowego ducha. To też artyści coraz częściej czerpią treść do swych obrazów z poezji, a z każdym dniem więcej dzieł tego rodzaju przybywać będzie. Ilustrowanie narodowych poetów stało się — potrzebą.

W położeniu naszem nastręczają się tylko dwa sposoby ilustracji, t. j. olejno i za pomocą rysunku rozpowszechnionego fotografią, miedziorytem, stalorytem lub drzeworytem. Pomnikowych ilustracji wykonywać nie możemy z braku odpowiednich budowli publicznych, któreby ku temu nastręczały sposobność. Nie mamy muzeów, glyptotek, pinakotek; nie istnieją u nas „Heinrichshofy,“ a panowie nasi zadowalają się patronowem malowaniem swych pałaców, gdzież im myśleć o freskach, które kosztują tysiące!

Przystępując do przeglądu i ocenienia krytycznego ilustracji do naszych narodowych poetów, rozdzielam przedmiot na dwie części; pierwsza obejmie ilustracje, które nie były załączone do żadnego wydania poetów; druga obejmie te ostatnie.

Dział pierwszy zaczynam ilustracjami do poezji Mickiewicza. Był to najukochańszy wieszcz narodu; najbardziej wpływowy poeta a nadto jeden z najwszechstronniejszych. Poezje jego są niewyczerpaną skarbnicą podniosłych postaci, genjalnych opisów, wybitnych charakterów; słowem, nastręczają malarzowi w każdym ustępie bogatą treść do obrazów. To też artyści nie polenili się w ilustrowaniu Mickiewicza poezji i żaden z naszych poetów nie wywołał tyle różnorodnych ilustracyj, olejno, akwarelą i piórkiem, ile autor Pana Tadeusza.

Gdym wspomniał Pana Tadeusza, przeto zobaczmy, jak go ilustrowali malarze nasi.

Wypada mi zacząć od zmarłego niedawno, a wysoce utalentowanego Maksymiljana Gierymskiego, który w początkach swego artystycznego zawodu, obdarzył nas niewielkich rozmiarów obrazkiem, do którego treść wziął z początkowych ustępów pierwszej księgi i nazwał go: „Powrót Pana Tadeusza.“ Jest to scena, jak powracające z lasu towarzystwo wita przybyłego. Na tle szerokiego krajobrazu, kiedy:

> W ślad gospodarza, wszystko ze żniwa i z boru,
> I z łąk i pastwisk razem wracało do dworu,

umieszczona jest mnoga liczba maleńkich figurek, o których charakteryzowaniu jednostkowem już z powodu samej maleńkości nie mogło być mowy. Kompozycja jest tego rodzaju, że niepodobna rozstrzygnąć, czy to ma być obrazek rodzajowy, czy też krajobraz z licznym stafażem postaci ludzkich i zwierzęcych, słowem jest niejasną, obok niepewnego rysunku, zdradzającego początkującego malarza. Artysta chciał na małej przestrzeni objąć całą scenę poematu, ale nie umiał zapanować nad przedmiotem i dla tego czuć w obrazie brak jednego duchowego ogniska, do któregoby się zwracała uwaga patrzącego. Wszystko tam równorzędne; nie ma ani przedmiotów głównych, ani pobocznych. Braki te wynagradza artysta kolorytem żywym, świeżym, a mimo nagromadzenia mnóstwa barw na małej przestrzeni, obraz nie robi wrażenia pstrocizny.

Obrazek ten nie był rozpowszechniony ani fotografją ani sztychem; znajdował się w r. 1869 na wystawach w Krakowie i Warszawie i należy do tych nielicznych prac artysty, które w kraju pozostały. (C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(*Ciąg dalszy.*)

II.

W oszklonych klatkach, zwanych domami wschodniemi, spi się nadzwyczaj lekko, zapewne dzięki powietrzu świeżemu i światłu, których tam nigdy nie brak. Zamiast zegara budzi śpiew muezinów z minaretów. Wczorajsza atoli zabawa tak nas znużyła, żeśmy nie słyszeli „sabah izanu“ (rannego nawoływania), i spaliśmy jeszcze jak zabici, gdy naraz głos trąbki myśliwskiej, rozlegający się tuż nad głowami, zbudził nas ze snu smacznego. Był to kapitan, który z punktualnością regulaminową starego żołnierza stawił się pierwszy gotów do wymarszu.

Niektórzy chcieli spać jeszcze, powołując się na to, że na dworze dopiero szarzeć zaczęło, ale trąbka kapitańska jak trąba Azraela, tak długo grzmiała, dopóki wszystkich nie postawiła na nogi.

— Zapewne chcecie w górach nocować między niedźwiedziami i szakalami — wołał kapitan — bo po nocy niepodobna będzie jechać. Kajmakam obiecał wam wprawdzie, że konie i muły stawią się przededniem, lecz nie zapominajcie że jesteście w Turcji. Do tej chwili nikogo nie widać i dobrze będzie jeśli w czterech godzinach spędzą wam „mekiery“ (juczne konie i muły.)

Argumentacja kapitańska była zbyt silną, aby jej nie usłuchać, zwłaszcza, że widok pustek na ulicy stwierdzał ją najzupełniej. Powstała ztąd krzątanina i wysyłanie na zwiady do „konaku“ (urzędu) zkąd służbie naszej udało się wprawdzie sprowadzić czausza zaptjów. Halila-agę, przeznaczonego na anioła stróża naszej wyprawy, lecz i od niego, prócz solennych zapewnień, że jeszcze wczoraj został wydany rozkaz, aby ludzie i zwierzęta juczne stawili się przededniem, — nic dokładniejszego nie można się było dowiedzieć. Francuzi zaczęli niecierpliwić się i gniewać tak, że Turek nie wiedział co począć i zaczął się tłumaczyć.

— „Wałła“*) mówiłem w „konaku“, aby tych „kiafirów“ (antychrystów) wraz z ich końmi i mułami na dwa lub trzy dni wcześniej do kozy wsadzić, ale tam odparli, że teraz „tanzimat“ (konstytucja) nastał i nie wolno dawnych środków używać. Zobaczymy, jak z tem dalej będzie! Nasz naród ma twarde mózgownice i do niego delikatnością jak do Frenków nie trafisz. Szukajże teraz po górach i lasach!

Wszyscy prawowierni Turcy podzielają zdanie agi, dodając, że świat się skończy, jeśli do dawnego porządku nie wróci. Wspólna to słabość wszystkim narodom, że radeby się cofnąć w przeszłość, chociaż tego nikt jeszcze nie dokonał. Podstawy bytu, ruch i życie, nie znoszą jednakiej formy; dla nich potrzebna ciągła odmiana jako wiekuista tajemnica tworzenia. Ale widocznie aga nie podzielał tego zdania, bo wychodząc, tak machnął ręką, jakby chciał uciąć łeb całej teraźniejszości.

Blask słoneczny padał na powierzchnię wód i oświetlał krajobraz owem światłem morskiem, które najczarniejsze nawet myśli może rozprószyć. U stóp miasta z lekka szumiało morze, w górze świeciły szczerbate ruiny Petonu (dolnego muru obronnego), a na stosie belek siedział zafrasowany Halil-aga i złamanym głosem wydawał rozkazy dwom zaptjom, którzy jak z pod ziemi wyrośli.

— Aman! duszko-baranku i ty synku — mówił naprzemian to do jednego to do drugiego — zebrać mi natychmiast tych bezwstydnych, co bać się Boga i czcić padyszacha nie umieją! Bodaj Iblis zapisał ich na dno Sidżinu!*) Haj! ziomku, haj! bracie, pędźcie pędem wiatru, abyście nie zmartwili naszych cesarskich urzędników.

Zaptje z miejsca istotnie szybko pomknęli. Halil-aga wydobył tymczasem kapciuch z zanadrza, nałożył fajkę i oczekując ich powrotu przypatrywał się to baranom, które na brzegu morskim bili rzeźnicy, to z dumą spoglądał na swego siwego konia, który z siodłem, nakrytem kosmatym kocykiem błękitnym, i z czerwonemi kutasami w grzywie stał opodal przypięty na uździenicy. Lekki dymek owiewał agi twarz

---

*) „Wałła!“, „iszałła“, „maszałła“ itd. są to zwykłe wykrzykniki tureckie, odpowiadające naszym dalipan, na Boga itp.

**) Anioł „Iblis“ podług Koranu utrzymuje księgi więzienia piekielnego — Sidżin.

smagłą, a swawolny wietrzyk igrał z pąsowemi wylotami dolimana, spoczywającego na herkulicznych barkach. W głębi sumienia czuł widać głęboko, że napracowawszy się podczas wydawania rozkazów, dobrze zasłużył na „kief“ który teraz odprawiał.

Z naszem pakowaniem także nie szło raźnie pomimo energicznej komendy kapitańskiej. Musieliśmy się zgodzić na ostatku, że najlepszymi sługami na Wschodzie są własne ręce i nogi. Nasi bowiem słudzy, prawdę powiedziawszy, więcej zawadzali jak pomagali. Nie namyślając się przeto długo, zabraliśmy się sami do roboty i wkrótce napełniliśmy kosze mięsem, winem, cukrem, ryżem, kawą, korzeniami i innemi wiktuałami. Koni atoli i mułów jeszcze nie było.

— Czauszu, ago! co tam słychać? — raz-w raz któryś z naszych pytał Halil-agę przez okno.

— Zaraz, zaraz! effendim, chwileczkę jeszcze, a wszyscy się zbiorą! - odpowiadał nie ruszając się z miejsca.

Po paro-godzinnem oczekiwaniu, kiedy już słońce wysoko stanęło, ukazała się nareszcie para koni z łękami jucznemi i jeden zaptja, ale reszta jeszcze nie nadciągnęła. Zapytano znowu czausza. Po raz setny posypały się obietnice, poczem zaptja odebrał na ucho jakieś rozkazy i powlókł się milczkiem do konaku.

Nareszcie stawił się drugi zaptja, lecz i ten nie więcej nad parę koni przyprowadził.

— A gdzie reszta, gdzie reszta? — wołano zewsząd. Czy żartujesz z urzędników cesarskich?! A nie słyszałeś, co stoi napisano w firmanie wali-baszy? (jenerał-gubernatora). Biegnij do kajmakama i powiedz mu by konie natychmiast przysłał, gdyż w przeciwnym razie zatelegrafujemy do baszy!

Z początku aga siedział nieporuszony, usłyszawszy jednak groźny wyraz „tel“ (drut), zerwał się na równe nogi i popędził do konaku. W dwadzieścia niespełna minut ujrzeliśmy na placu przed domem tłum ludzi, koni i mułów, który postępował otoczony łańcuchem zaptjów. Wszyscy zatrzymali się przed nami, a z tłumu wystąpił Halil-aga i rzekł z miną tryumfującą:

— Bujrum, bujrum! (bardzo proszę) oto są konie i muły, które wam z ukłonem przysyła kajmakam-bej. Iszałła! użyliśmy starego zwyczaju zamiast konstytucji i wszystko poszło jak z płatka.

Stary zwyczaj, który tyle wewnętrznego zadowolenia sprawiał adze a nam dostarczył wierzchowców, polega na zwykłym manewrze władz tureckich, gdy je kto do muru przyprze. Tyranizujcie mnie, mówi władza, a ja za to będę tyranizowała ludność poruczoną mojej pieczy! Naparliśmy kaimakama o wierzchowce, on przeto uznał za rzecz najstosowniejszą pocisnąć Kierasundczyków, gdy legalne postępowanie zbyt długiem się okazało. Wyszli w sekrecie zaptje z całego miasta, otoczyli bazar, gdzie lud zebrał się z końmi, mułami i osłami — i co było potrzebne do nas przypędzili.

Genjusz turecki należy do najciekawszych. Zapragnął równości spółobywateli — puścił strychulec po ich głowach i odciął te, które przerosły resztę; ale ponieważ tak długo równość nie była zupełną, dopóki nie nastąpił równy podział majątku — zabrał więc całą ziemię i oddał na własność padyszachowi; ilekroć zabraknie mu ziemi lub pieniędzy — zabiera u sąsiada... bez pokwitowania; chce utrzymać obyczajność, uświęca rozpustę wielożeństwa; potępia wino ale pozwala wódkę itd. itd. Ten to genjusz stworzył: jańczarów, seraj, padyszacha i piramidy z głów ludzkich....

Dzięki więc jemu główne potrzeby naszej wyprawy zostały zaspokojone; brakło tylko przyborów, po które władza rozbiegła się po mieście. Zaptje, przeprosiwszy wieśniaków, w lot im pozabierali siodła, munsztuki i inne drobiazgi. Wkrótce osiodłana i objuczona karawana stanęła na nasze rozkazy.

Trąbka kapitańska zagrzmiała a na to hasło dosiedliśmy koni.

Dwaj zaptje z karabinkami wysunęli się na czoło.

— „Ogurlar olsun, czelebi!“ (szczęśliwej podróży, panie) — zawołał uroczyście Halil-aga zwracając się do kapitana; potem spiął wierzchowca i posunął naprzód a my za nim w milczeniu z powagą zdobywców.

Ruszyliśmy środkiem miasta na wschód, w kierunku Ak-su. Na bazarze zebrali się ciekawi, którzy zapomniawszy o rannej scenie, radośnie śledzili oblicza tych, co mieli wybudować dla nich „kara-pampur“ (kolej żelazną). Żeby robiono tyle zachodów około drogi, po której konie, muły i wielbłądy będą chodziły — temu nikt nie chciał dać wiary. Kupcy i przekupnie kierasundzcy widzieli już przed sobą ogromne zyski, które popłyną do ich kieszeń z głębi kraju.

— Czy prędko sprowadzicie „kara-pampur“ ze Stambułu? — pytał jeden Ormianin z tłumu.

— A na co tobie?

— Chciałbym za dwa tygodnie pojechać do Kara-Hissar.

— Zapytaj o to ajenta, on ci to zapewne najlepiej wytłumaczy.

Ormianin uśmiechnął się znacząco, skinął dłonią w stronę ajencji francuskiej, pokręcił głową w prawo i w lewo, jakby pytał, czy dobrze zrozumiał, o kim mowa. Odebrawszy twierdzącą odpowiedź, poczerwieniał z radości. Widocznie już liczył w myśli, ile wygra na giełdzie wskutek tej wiadomości.

Wyjechaliśmy na górę, pod twierdzę, w część zamieszkałą przez znakomitszych Turków. Minęliśmy duży cmentarz turecki zarosły wysoką paprocią z pozłacanemi, białemi nagrobkami i gajem cyprysowym, gdzie koczowały liczne rodziny psów ulicznych, mających tu swoje locum standi. W pobliżu wyjazdu z miasta, obok kaplicy tureckiej z fontanną, stała kawiarnia, nieco w głąb wsunięta, a przed nią rosło kilka drzew, pod któremi siedzieli na niskich stołeczkach, kurząc nargile i pijąc kawę, poważni agowie i effendowie. Jakiś stary z dużym zawojem, w zielonem futrze, podsunął się ku karawanie, pytając czy prędko „kara-pampur“ będą budowali i czy mają już wszystkich urzędników, potrzebnych do zarządu? Radość błysła na apatycznej twarzy Turka po odebranej odpowiedzi; a reszta milczących współbiesiadników, każdy z osobna zaczął marzyć o szczęściu, jakie go spotka, gdy zostanie urzędnikiem drogowym....

Za miastem, gdyśmy wyjechali po skalistej drodze pomiędzy pachnące ogrody leszczyny tureckiej, i kiedy przed nami odkryły się w całym majestacie góry i skały nadbrzeżne, spotkał karawanę wieśniak turecki „kiöjli“, który także pytał, kiedy zaczną budować „kara-pampur“ i czy za gotowe pieniądze? Ktoś mu odpowiedział, że za pieniądze. Uszczęśliwiony wieśniak szedł dalej rozmyślając wesoło, ile to zarobi od Frenków, gdy zaczną kupować orzechy, masło i skóry; lecz co najwięcej go pocieszało, to wiadomość, że droga będzie budowaną nie darmo, nie kosztem jego pracy, ale za pieniądze.

Nietylko ludzie ale nawet mewy i nurki morskie zdawały się podzielać radość powszechną, krążąc wrzaskliwie i tłumnie po nad naszemi głowami. A gdyśmy się wynurzyli z zieleni sadów na równinę przybrzeżną, o pół godziny od miasta, i przybyli pod turkocący młynek wodny na ruczaju, orły siedzące na spiętrzonej skale, na której świeciły mury klasztoru Ś. Georgiosa, poruszeniem skrzydeł majestatycznych witały uprzejmie naszą karawanę.... Nie wiem tylko czy równie szczęśliwi byli poganiacze lub raczej właściciele koni i mułów, których zmuszono do asystowania naszemu radośnemu pochodowi....

Jeśli wszystko stosowało się mniej więcej do naszego usposobienia, za to nie można było tego powiedzieć o klasztorze Ś. Georgiosa, który jak ekscentryczny dziwak uciekł przed nami na szczyt skały niezbyt wesołej. Bryła ta kamienna oderwana od reszty pasma gór, wybiegła pionowemi ścianami na tysiąc przeszło stóp po nad powierzchnię morza. Klasztor zaś wyglądał na niej jak gniazdo orla. Turcy utrzymują, że każdy klasztor giaurski, jest uosobieniem koranowego potworu Al-dżesaset, mającego dziób ptasi, ciało krokodyla, uszy słonia, nogi jelenia a kły i pazury tygrysa. Straszliwe te potwory wiecznie pracują nad wywróceniem islamu....

Kaługierzy (mnisi) Ś. Georgiosa nie wyglądają jednak tak strasznie, jak o tem nie raz w Kierasundzie mogliśmy się naocznie przekonać. Są oni podobni do zwyczajnych śmiertelników i różnią się od nich chyba oryginalnym kołpakiem na głowie, z przegubem w połowie, oraz czarną szatą z szerokiemi rękawami. Całość ich ubioru, zwłaszcza gdyby zamieniono kołpak grzybkowy na kończasty, miałaby uderzające podobieństwo do stroju czarnoksiężników, który baśń ludowa do dziś dnia przechowała.

Prócz powierzchowności, zacni ci mnisi są i pod innemi względami do nas podobni. Lubią np. dobre mięsko, chociaż reguła wschodnia samą rybą żyć każe; winem i rumem wcale nie gardzą, a jak niektórzy utrzymują od szampana także nie uciekają. Co do innych słabostek, niech o tem mówi ludność okoliczna, ja o nich przemilczeć wolę....

Jeżeli klasztor nie zupełnie harmonizował z atmosferą, towarzyszącą naszej podróży, za to mruczenie poganiaczy i turkot młynka zlewały się w równe unissono. Młynek starowierskiej konstrukcji, chrapliwym głosem usiłował przestraszyć poddanych padyszacha, którym innowacje były w głowie. Turbinowe jego kółko poziome, w łyżki uzbrojone, by więcej prądu zachwycić, zatknięte na pionową oś, do której w górze przytwierdzony był kamień, nieco większy od naszych żarnowych — widocznie kłóciło się z teraźniejszością giaurską, klekocąc nam w uszy głosem przeszłości.

Wkrótce postrzegliśmy wieś Ak-su, zamieszkałą przez ludność grecką, z nędznemi chałupami, darnią albo chrustem pokrytemi. Gładka powierzchnia uprawionej roli, pośród której siedziały samotne mieszkania ludzkie spólne z bydlęcemi, mogła na chwilę zwieść oko podróżnego. Uprawa ta nie była jednak objawem wyższego stopnia cywilizacji, ale blichtrem go

spodarskim; po wierzchu ziemia była starannie zawłóczoną, lecz pod spodem miała bryły nieporuszone.

Wyjeżdżając ze wsi, spotkaliśmy kilka wieśniaczek z ogromnemi wiązkami chrustu, które postępowały szybko, ciągnąc ciężary, przechodzące wielkością je same. Kobiety te prócz przeciążenia pracą, były powierzchowności odstraszającej. Ubrane w jakieś zagadkowe stroje, z łat samych i o barwach najrozmaitszych, niskie i przysadkowate, z cerą twarzy, przypominającą korę stuletnich dębów, dziwnie odbijały od kilku wieśniaków idących tuż za niemi. Wiotcy i zgrabni, o pięknych rysach twarzy, mężczyźni greccy obok swoich kobiet, wyglądali jak motyle obok szkaradnych poczwarek.

We wschodniem społeczeństwie, gdziekolwiek zajrzysz, wszędzie coś ciekawego odkryjesz. W tym np. wypadku czy nie jest jawną kara, jaką wieśniak za swoje próżniactwo ponosi? Komuż nie jest znaną piękność kobiety wschodniej? Piękną widzimy ją wszędzie, gdzie ma właściwe swej płci zajęcie i utrzymanie. Ale po wsiach, gdzie ją przemieniono w zwierzę robocze i w dodatku całkiem zaniedbane, stała się potwornie brzydką. Tak to natura mści się za przekroczenie granic, które nam zakreśliła, za pogwałcenie obowiązków, jakie na nas ciążą.

(C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Dla dzisiejszej nauki o świetle barwa i światło są tożsame, każda barwa odmienna jest światłem innego rodzaju, tak samo jak każdy ton jest dźwiękiem, a każdy ton odmienny dźwiękiem innego rodzaju. Jak muzyka jest ogólnem pojęciem wszystkich tonów i ich połączeń, tak też w pojęciu światła łączą się wszystkie barwy i ich mięszaniny. Muzyka składa się z tonów, światło z barw.

Analogja ta idzie nawet dalej — jak ton jest wysokością dźwięku, tak barwa jest wysokością światła; zbliżenie to nie jest pozornem, a wynika z wewnętrznej natury, z przyczyny tych zjawisk. Każdy ton polega na ściśle oznaczonej liczbie drgań głosowych, powietrznych, każda barwa na właściwej liczbie drgań eterycznych, świetlnych. Ta tylko różnica między niemi, że drgania, które w nas sprawiają wrażenie głosu, są bez porównania wolniejsze, bo najniższy ton słyszymy już wtedy, gdy ciało głosujące wydaje około 8 drgań na sekundę, gdy najniższe światło, jakie oko uchwycić może, wymaga 400 biljonów drgań na sekundę; wyższa granica tonów przypada przy 38.000 drgań na sekundę, wyższa zaś granica wrażeń światła przypada przy 800 biljonach drgań. Ale z tego wypada, że skala tonów, jakie ucho nasze ująć może, jest o wiele obszerniejsza niż skala wrażeń dostępnych oku. Wiadomo bowiem, że ton, który nazywamy oktawą, polega na liczbie drgań dwa razy większej, niż ton zasadniczy; tak np. ton wynikający ze 128 drgań na sekundę jest oktawą tonu, dla wywołania którego potrzeba 64 drgań na sekundę. W granicach zaś 8—38000 przypada znaczna liczba oktaw (wprawdzie muzykalną wartość mają tylko tony między 40 a 5.000 drgań na sekundę), gdy cała skala tonów świetlnych obejmuje jedną zaledwie oktawę. Każdy ruch drgający, przypadający między 400 a 800 biljonami drgań, a rozchodzący się za pośrednictwem fal eteru, jest światłem, a każda odmienna liczba drgań, każde połączenie różnych liczb drgań jest właściwym rodzajem światła, właściwą barwą. Ton jest barwą głosu, barwa jest wysokością światła. 400 biljonów drgań na sekundę sprawiają w oku wrażenie światła, tak samo jak 800 biljonów drgań; ale światło polegające na 400 biljonach drgań jest światłem czerwonem, gdy drugie, o 800 bil. drgań, jest światłem fijoletowem, światło o 600 biljonach drgań jest zielonem. Gdy kilka świateł o różnych liczbach drgań ze sobą się mięsza, występuje łącznie, wydaje to też światło oznaczonej barwy.

Tu dostrzegamy już różnicę między właściwościami oka i ucha. W mięszaninie tonów ucho, przynajmniej wprawne, rozróżnić może tony oddzielne, gdy oko łączy między sobą różne barwy w jedno wrażenie, a dla rozdzielenia barw pojedyńczych w mięszaninie barwnej, trzeba uciec się do szczególnych środków.

Światło składające się z jednakich drgań, nazywa się światłem jednorodnem, czyli barwą jednorodną. Jednorodna taka barwa nader jest rzadką; niemal jednorodnem jest światło żółte, powstające z płonącej pary sodowej, np. płomień spirytusu, zawierającego w rozpuszczeniu sól kuchenną. W ogóle jednak barwy i światła, jakie nam zwykle pod oczy podpadają, są złożone. Światło zwykłe, naturalne, czyli tak zwane białe, składa się z najrozmaitszych promieni, których liczba drgań przypada między 400 a 750 biljonami; ściśle zatem mówiąc, obejmuje ona 350 biljonów rozmaitych świateł czyli barw. Sąsiednie jednak promienie, czyli światła o bliskiej liczbie drgań, sprawiają w oku niemal jednakie wrażenie, tak że właściwie mamy tylko pięć odmiennych barw głównych: czerwoną, żółtą, zieloną, niebieską i fijoletową. Barwy te zawarte są w świetle słonecznem i w świetle każdego biało płonącego ciała; przekonać się o tem możemy za pomocą pryzmatu czyli graniastosłupa szklanego. Promień światła, przechodząc przez taki pryzmat, zbacza z pierwotnej swej drogi, czyli jak się nauka wyraża, załamuje się; atoli każdy ze składowych jego promieni załamuje się inaczej i po przejściu przez pryzmat idzie odmienną drogą; promień światła białego rozszczepia się na pojedyńcze barwy. Jeżeli po za pryzmatem umieścimy zasłonę, to nie tworzy się już na niej obraz biały, okrągły, jakiby się utworzył, gdyby pryzmatu nie było, ale smuga podłużna, na której opowiedziane wyżej pięć barw stopniowo jedna w drugą przechodzą, jak w tęczy. Barwny ten obraz zowie się widmem, a występujące w nim barwy widmowemi czyli tęczowemi, gdyż zupełnie się zgadzają z barwami występującemi w tęczy, tak w porządku, jak i w sposobie powstawania. Doświadczenie to po raz pierwszy przeprowadził ściśle Newton i jako jego wynik wypowiedział zasadę, że światło białe składa się z barw tęczowych, z barw różnej łamliwości, Do wyżej wymienionych pięciu barw dodał on jeszcze dwie — pomarańczową, która stanowi przejście między czerwoną a żółtą i błękitną (ciemnoniebieską, indygową), która jest również barwą przejściową między niebieską a fijoletową. Siedm barw obrał Newton dla zachowania zgodności z siedmiu tonami zwykłej gamy, nie uznając wszelako zgodności istotnej, wewnętrznej, między dźwiękiem a światłem. Siedm tych barw prostych przeszło do wszystkich wykładów fizyki, każdy w dzieciństwie słyszał o siedmiu barwach. Zresztą siódemka po wszystkie czasy cieszyła się względnością ludzi i była uważaną za mistyczną. Już w astronomji Chaldejczyków i Egipcjan odgrywała siódemka znaczną rolę: siedm planet panowało na ich niebie, 7 dni tworzyło cykl tygodnia, 7 lat stanowiło wielki cykl. U Hebrajczyków stworzenie świata trwało dni 7, rok sabatowy przypadał co lat 7, a jubileuszowy 7×7 lat; we śnie Faraona występuje 7 krów tłustych i 7 chudych. W Apokaliście również występuje 7 świątyń, 7 świeczników, 7 gwiazd, potwór siedmiogłowy itd. U Greków liczba 7 poświęconą była Apolinowi, którego djadem błyszczał siedmiu gwiazdami. Kościół katolicki liczy 7 sakramentów. Liczono także siedm sztuk wyzwolonych, a astrologja i zabobony średniowieczne ze szczególnem upodobaniem lubowały się w siódemce. Ze wszystkiemi temi siódemkami siedm barw zostają zapewne w bliższem lub dalszem powinowactwie, atoli Helmholz uważa, że z równą słusznością przyjąć można jeszcze trzy barwy pośrednie, tj. mianowicie złotożółtą między pomarańczową a żółtą, żółtozieloną między żółtą a zieloną, i niebieskozieloną między zieloną a niebieską.

(C. d. n.)

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Takich zakładów dla internowanych jak nasz, było jeszcze trzy. To jest dwa budynki kwarantanny, z których jeden nad Wisłą nad samym mostem z palisadą drewnianą, od frontu mieścił niektórych obywateli z Polski i wszystkie prawie damy, szukające schronienia w Galicji. Można było widywać je, i rozmawiać ze znajomemi przez parkan. Między temi paniami, niektóre odznaczały się wielką pięknością; jako to: pani Henrykowa Małachowska, p. Franciszkowa Węglińska z siostrą panną Zofją Suffczyńską, pełną uroku i wesołości skromnej osobą. Niedaleko od tego domu był drugi duży dom murowany o piętrze, gdzie się mieściły niektóre ilustracje rewolucji 1831 r. jako to Ledóchowski Jan, poseł sławny z wykrzyku w izbie sejmowej „Nie ma Mikołaja!“ który to pociągnął za sobą polityczną detronizację autokraty; Węgliński Wojciech, poseł i komisarz cywilno-wojskowy w trzech województwach zachodnich, i wielu innych, których nazwiska pozapominałem. Trzeci zakład, w solnym magazynie, na drugim końcu Podgórza, od strony Wieliczki. Ten równie, jak nasz zapełniony był samymi wojskowymi, a że był i obszerniejszy i podzielniejszy od naszego, więc się tam mieścili wszyscy sztabsoficerowie, i wielka ilość oficerów różnej broni. Był jeszcze jeden zakład na wzgórzu za kościołem, ale już za miastem leżący, gdzie pod gołem niebem obozowali nadciągający jeszcze z różnych stron podoficerowie i żołnierze, otoczeni gęstemi wartami piechoty. Tych położenie przez kilka dni, było bardzo smutne; wystawieni na wszystkie zmiany jesiennego powietrza, przy braku drzewa opałowego, słomy na posłanie, i przy trudnościach jakie mieli, dostawania żywności, znajdo-

wali się w stanie rozpaczliwym. Później dopiero usilne starania p. pułkownika Gajewskiego i majora Bohdanowicza, pracujących niezmordowanie, i upominających się o polepszenie losu tej biednej młodzieży, zrobiły, że im dano kilka namiotów, postawiono baraki, i urządzono regularną służbę, dostawiającą żywność żołnierską, do tego oboziku. Drugiego dnia przed wieczorem, przysłała nam jakaś baronowa Niemka ogromną furę siana i kilka korcy owsa, bardzo się to przydało dla naszych koni; ale jakto zwykle u nas się dzieje, nie można było doprowadzić do porządnej dystrybucji. Jedni zaczęli skubać siano z boków, drudzy mądrzejsi na wierzch powyłazili, i tam wiązali porcje; trzeci nakoniec, zakradli się i podważywszy wóz z jednej strony, wywrócili. Smieszna to była scena; siano ponakrywało i tych co z boków stali i tych, co byli na górze; wszyscy się rzucili, zabierając to na posłanie, to dla koni; w jednej chwili znikło siano, ku wielkiej uciesze parobków, co je przywieźli. Z owsem trochę porządniej poszło. Kazaliśmy oświadczyć naszą wdzięczność poczciwej baronowej, która prawdziwą łaskę nam wyświadczyła tą przesyłką. Tak zeszło dwa dni. Trzeciego dnia z rana, odstąpiły szyldwachy od bramy, czego dopatrzyli ciekawi, wyglądający ciągle szparami. Brama została otwartą; ale nikt nas o tem nie zawiadomił. Więc młodzież zaczęła się trochę za nią wysuwać, i oglądać naokoło. Co raz po kilka kroków naprzód postępowali, a przekonawszy się, że się temu nikt nie sprzeciwia i z ulicy nie zawraca, w kilku minutach wszyscy wyszli na miasto. Nadszedł Lgocki z oświadczeniem, że wolno tym, co mają ochotę, ponajmować sobie mieszkania w mieście, szukać ich lub zostać w koszarach. Zaraz rozbiegliśmy się za kwaterami. Ja, Żółtowski, Hen. Fredro, Wł. Rozwadowski i Nereusz Hoszowski najęliśmy piąterko za kościołem, u pensjonowanego majstra kominiarskiego, starego, tłustego, poczciwego Morawczyka. Dom był porządny, stajnia dobra, i porządna gospodyni obiecała stołować tych, co nie mieli ochoty chodzić do traktyjerni. Meble były proste, to jest stoły sosnowe, krzesła drewniane, łóżka jodłowe i tapczany. Urządziliśmy się ile możności wygodnie w tym apartamencie, a duch w każdego wstąpił, jak się uczuł wypuszczony z pod warty i klucza. Z początku chodziliśmy jeść pod Jelenia, gdzie i nie dobrze i drogo nas gruby Gansberger karmił, i jeszcze częstokroć się urażał, jak się na to skarżono. Później jadaliśmy w domu obiady, a do naszego menażu przyłączyło się jeszcze kilku kolegów. Był to czas jesienny, o zwierzynę było łatwo, szczególnie kwiczoły przynosili górale masami, któreśmy też masami zjadali, z czego bardzo nie był zadowolony stary gospodarz, przymuszony przez żonę do skubania.

W krótce poformowały się między internowanymi rozmaite grupy ludzi, którzy, zdawało się, że dla siebie umyślnie byli stworzeni. Ci razem się schadzali, razem jadali, radzili, rezonowali i derezonowali, a nakoniec dla odmiany kłócili się, zkąd wyrosło kilka pojedynków. Oficerów nie desarmowano, wszyscy też w ogólności z bronią chodzili. Co wieczór prawie grywała koło domów kontumacji, bardzo dobra muzyka pułku huzarów króla pruskiego. Ile tylko pozwalała pogoda, wszystko żyło na ulicy. Zbliżano się do mostu, ażeby się komunikować z mieszkańcami Krakowa, którzy, szczególnie kobiety po parę razy na dzień przychodziły do mostu. Nie wiele można było gadać, bo zawsze oficerowie moskiewscy bywali przytomni. Z próżnowania, gra bardzo się zagęściła między kolegami; najmocniej grano w kwaterze Grotusa, pułkownika strzelców, który w motji z Hoszowskim, Żardeckim i kilku jeszcze innymi, na Podgórzu i później we Lwowie dom gry na wielką skalę utrzymywał.

Do naszej kwatery schodzili się huzary, z którymi wieczory bardzo wesoło się przepędzało, kończące się po większej części dość przyzwoitą pijatyką. U Ledóchowskiego co dzień prawie odbywały się szumne, szampanem ożywione wieczorne pogadanki. Zamojscy i Czartoryscy siedzieli bardzo cicho i spokojnie. Najmłodsza córka Ordynata, dziecko jedenastoletnie, zgrabne ale wątłe, jeździła co dzień z bratem swoim najmłodszym, na ogromnym angielskim koniu na spacery, w obrębie kontumacyjnym; widok tej śmiałej maleńkiej amazonki, wszystkich zajmował i bawił. Na drugi dzień po zakwaterowaniu się naszem, przybył do mnie mój wierny sługa Hieronim z Zatoru i opowiedział mi smutny los moich koni, które jak wyżej mówiłem, zostawiłem w Pińczowie pod opieką Edwarda Chamca. Spekulanci konni znaleźli się przy dochodzącym do granicy korpusie, rozsiewając za najpewniejsze, fałszywe wiadomości, że Austrjacy, zaraz po przekroczeniu granicy, zabierali wszystkie konie, czy szeregowych, czy oficerów. Poczciwy Edward uwierzył, a chcąc choć cośkolwiek uratować z tego rozbicia, przedał i swoje i moje konie z całem umontowaniem, nasłanym na niego spekulantom. Za moje wziął 15 dukatów, które mi przez Hieronima odesłał, chociaż były one najmniej warte 150 dukatów. Na drugi dzień odpytałem między internowanymi w obozie furmana mego Daniela. Nie chciałem go brać z sobą idąc na wojnę, bo był mi za młody; tymczasem jak korpus Dwernickiego zbliżył się do granicy galicyjskiej, Daniel, wraz z kilku innymi młodymi chłopakami, przeszedł granicę i zaciągnął się do krakusów; z jego kolegów dwóch zginęło pod Boremlem, reszta wróciła zaraz po tej bitwie do Łuczyc*) on zaś dostał się nazad do Polski i był trębaczem w zakładzie w szwadronie należącym do 2go pułku krakusów. Ucieszyło mnie bardzo odszukanie tych dwóch pełnych poświęcenia się dla mnie ludzi.

Pierwszą rzeczą, którąm zrobił, sprowadziwszy się do kwatery, było pisanie listów do ojca, rodziny i mojej narzeczonej, z którą na parę dni przed wyjazdem do Polski, zaręczony zostałem, a długo od wszystkich nie miałem wiadomości.

Od tego czasu życie nasze ciągle było jednostajnem; starano się ile możności odpychać od siebie nudy, sztuczną wesołością, nie skończona nigdy gawęda z kolegami, która się składała częścią z opowiadania przebytych wypadków i niebezpieczeństw w których się znajdowano, wszystko po większej części ubarwione, mniej więcej poetycznemi natchnieniami; w części krytyką, najczęściej najniedorzeczniejszą planów, i ich wykonania, oraz zdania najczęściej powierzchowne lub niesprawiedliwe o generałach, doprowadzała bardzo często do sporów i kłótni, kończących się czasem wyzwaniem zagodzonym, rzadko kiedy lekkim pojedynkiem. Wielu z interesowanych, zapoznawszy się z okoliczną szlachtą która nas chmarami nawidzała, za ich pomocą, wynosiło się z Podgórza. Wielu rozłaziło się po kraju, niektórzy udawali się za granicę, do czego pomagało im uorganizowanie pewnych etapów i poczt obywatelskich. Rząd na to przez szpary patrzył, ciesząc się w duchu, z ubywania, jak ich nazywano, głów niespokojnych... (D. n.)

*) Łuczyce, niedaleko Sokala, dziś majętność Fr. hr. Komorowskiego, gdzie zmarł przed dwoma laty znakomity autor „Rodziny Konfederatów,“ śp. Kajetan Suffczyński. P. R.

NIEOBECNI.

TOAST

wzniesiony d. 7. marca 1875 r. na uczcie dla

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

Z kielichem pełnym wstaję,
Miłością drży mi serce,
I hasło daję!

Radbym wznieść toast wesoły!
Płyn kipi w pętach z kryształu..,
Z każdej kropli po iskierce
Rzucić na ten stos zapału,
Który w oczach waszych płonie,
Złocąc wieszcza głowę siwą,
Wziętą między przyjacioły.

Radbym wznieść toast wesoły,
Uczcić tę chwilę szczęśliwą,
Spędzoną w szlachetnem gronie!

Lecz komuż wzniosę wiwaty?
Kędyż obrócę me słowo?
Już dali swaty i braty
Wszystkim cząsteczkę godową,
Z serc przepełnionych po kraje
Uczczenia każdy wziął wiano..,
Więc któż mi jeszcze zostaje?...
O nikim nie zapomniano...

O nikim... Cóż to? Widzicie?...
Mocneż wyrzekłem zaklęcie?!
Pękają odrzwia tej sali
Jakby na czaru dotknięcie;
Przez rozdzielone podwoje,
Jakaż to ciżba się wali!
We drzwiach się ciśnie i mrowi,
A jeszcze z sinej oddali
Nadchodzą roje i roje!

O! pierwszych zaraz poznaję,
Łańcuch mi nazwę ich mówi!...
Tęsknica piersi im pali,
Duchem się tutaj wyrwali;
A przyszli z kajdan ohydą
Na znak widomy — zkąd idą!
Z nad Wisły, Prosny, Pilicy
Mknie orszak ten bladolicy.

I tych nie pytam o miano.
Co tuż za nimi się suną:
Śnieg skrył ich jak srebrne runo,
Pierś mają trudem złamaną.
W ich dłoniach młoty, oskardy —
Orszak to cichy a twardy.

A dalej pospiesznym biegiem.
Innych szereg za szeregiem.
Z pod skwarnej równika spieki
Z pod lodów Północy cichej.
Z wysp dzikich strefy dalekiej.
Z miast pełnych blasku i pychy,
Z Południa, Wschodu, Zachodu, —
Iskry — z ogniska narodu!...

Czyż koniec?... Nie!... Wielkie dziwa!...
Inne postrzegam widziadła:
Twarz ich już śmiercią pobladła,
A jeszcze zgrozą straszliwa;

Z pod borów darni wychodzą,
Z nieznanych mogiłek cienia,
Inni z serc waszych się rodzą, —
Wam tylko znani z imienia;
Wdziewają życia rumieńce
W wielkie łańcuchy się wiążą...
Jak wian żurawi tu dążą...
Młodzieńce!... sami młodzieńce!

I patrzcie! lud ten olbrzymi, —
Jeńce, polegli, pielgrzymi —
Nad wasze schyla się głowy,
Nad moim staje kielichem,
I smętny, blady, surowy,
Szepce — o! czy wy słyszycie...
Głosem jak westchnienie cichym:
„A o nas czy zapomnicie?!“

My! — o was!... O wpierw ta ręka,
Z puharem nalanym drżąca,
Niech jak łan suchy popęka,
Jak drzewo martwe się skruszy,
Niech własnej zapomnim duszy,
Nim was, gromado milcząca!

Kielichy w górę, drużyno!
Do góry serca w zapale!...
Lecz cóż to... Czy jestem w szale?!
W kielichach naszych nie wino,
Ale gorące łzy płyną,
Ale krwi kipią korale!...
O nie! Nie złuda to mami,
Znak to dają — Aniołowie:
Nie winem — lecz krwią i łzami
Wznoszę Nieobecnych zdrowie!

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział IV.

(Ciąg dalszy.)

Wielkiem było zdumienie i oburzenie księdza Zygmunta Stodolskiego po owej bezskutecznej rozmowie z Heleną, w sprawie sumy potrzebnej na budowę kaplicy OO. zgromadzenia apostolskiego. Gdyby mniej kosztowna zresztą budowa mojej powieści nie wymagała była koniecznie, aby przynajmniej jedna para kochanków pobrała się w trzecim rozdziale, byłbym zdał obszerniej sprawę z tej rozmowy, tem ciekawszej, gdy po raz pierwszy może przy tej sposobności zdarzyło się ks. Zygmuntowi napotkać na taką opozycję u duszyczki, którą sam przygotował do stanu najzupełniejszej łaski. Nie mylił się bynajmniej zacny kapłan, jeżeli tę jaskrawą apostazję przypisywał wpływowi p. Zameckiego, przyznać atoli wypada, że p. Tadeusz zastał już u Heleny grunt odpowiedni do przyjęcia ziarna herezji. To co mówił p. Skryptowiczowi o jej wyobrażeniach religijnych, patrjotycznych i estetycznych, było zupełną prawdą. Wyrosła w otoczeniu, w którem wszystko opierało się na pozorach, posiadała inteligencję dość bystrą, by przeniknąć nicość tych pozorów, a nie mając zkąd zaczerpnąć prawd, któreby mogły być podstawą jej zewnętrznego i wewnętrznego życia, wyrobiła w sobie przekonanie, że jak obyczaje salonowe, tak i pojęcia o tem, co dobre albo piękne, są tylko konwencjonalnie przyjętemi formułkami. P. Zamecki dotychczas, mimowoli utwierdzał ją w tem przekonaniu. Uderzał bezwzględnie na mamidła i blichtry, które widział w koło, a nie miał czasu jeszcze, czy nie umiał dać jej do poznania, że po za tą negacją fałszów żywił w głębi duszy i wiarę, i uczucia, i skłonności, których nomenklatura odpowiadała zupełnie nomenklaturze bożków, które obalał. Nauczył ją czuć tylko silniej to, co nieraz sama czuła: nieznośny ciężar fałszu i obłudy. Długo dźwigała to jarzmo, i roskoszą przejmowała ją myśl, że będzie mogła je zrzucić. Dla tego spieszno jej było zerwać z Alfredem, dla tego nie wahała się powiedzieć ks. Stodolskiemu, że jego mowy pełne namaszczenia są w jej oczach hipokryzją, a jego napomnienia, materjalnem wyzyskiwaniem łatwowiernych i ograniczonych. Niestety — przyjemność jaką jej to sprawiało, nie była niezmąconą. Pozbyć się Alfreda, którym pogardzała, mogła tylko, oszukawszy poprzednio Zameckiego — pozbyć się ks. Zygmunta nie zdołała wcale, zlękła się groźby, którą pośrednio wypowiedział. Czuła, że tylko otwartość wobec męża wybawić ją może z tej ciągłej potrzeby ukrywania czegoś, że otwartość taka zapewniłaby jej spokój, i podniosłaby ją we własnem mniemaniu—ale jak powiedziała Alfredowi, tak było w istocie: Zamecki ciężył na niej swoją przewagą moralną, jako człowiek na wskróś „honorowy,“ i nie chciała powiększać tej przewagi, stwierdzać jej, upokarzającem wyznaniem. Do obowiązku nie poczuwała się w tej mierze, jak nie poczuwała się do winy w moralnem jej znaczeniu — pojęcia obowiązku i winy nie istniały dla niej wcale, bo nie istniało i to, na czem pojęcia te opierają się w sercu ludzkiem.

Tadeusz zdawał sobie dokładnie sprawę z tego stanu jej duszy, i przedsięwziął jej nawrócenie. I tak, z jednej strony, biedna pani Podwalska modliła się, pościła, odprawiała pokuty i nowenny, i trawiła we łzach nocy bezsenne, bo ksiądz Zygmunt obarczał jej sumienie grzechami córki i wskazywał wieczne potępienie, jako skutek związku z jawnym bluźniercą i niedowiarkiem. Nawiasem powiedziawszy, było o czem pokutować, bo p. Zamecki oczyściwszy z długów majątek matki i córki, przeznaczył go p. Podwalskiej na dożywocie. Z drugiej zaś strony, ten bluźnierca i niedowiarek pisywał do p. Skryptowicza listy, które chyba tylko stylem różniły się od sprawozdań misjonarzy z głębi Afryki.

„......Nie sądziłem nigdy, mówił między innemi, ażeby rzemiosło katechety było tak trudnem. Zwiedzaliśmy onegdaj starą katedrę, pełną grobowców i wspomnień.... Dziad przyprowadził nas do płyty marmurowej przed wielkim ołtarzem, i opowiadał nam, że na tem podwyższeniu stawali niegdyś, w czasie koronacji swojej, królowie—że dobywali starej szabli, wyjętej ze skarbca, i znaczyli nią krzyż w powietrzu, na cztery strony świata. Nikogo oprócz nas nie było w kościele, grube cienie ścieliły się po odwiecznych murach, patrzących na nas w uroczystem milczeniu. Mimowoli ukląkłem i zadumałem się, oparłszy czoło o podnóże królewskie. Helena zrobiła uwagę, że czas wracać do hotelu; gdy spojrzałem na nią, zrobiłem uwagę, że miała wyraz zdziwienia w twarzy. Było mi bardzo przykro—tam, gdzie ja czułem się przejętym, porwanym, ja, co przecież także w życiu i nie na wiatr, machałem żelazem, ja co mam lat czterdzieści na karku i łatwe szyderstwo w ustach, tam umysł młodszy, umysł kobiecy powinienby chociaż raz doznać czegoś na kształt ekstazy.... Cóż robić, nie nauczono jej czuć z własnego popędu, a wielkiego historyka Kryspina nie było przy nas, ażeby uczonem skinieniem głowy dał do poznania, że należy być zachwyconym. W powrocie, wszczęła się między nami rozmowa, w ciągu której zrozumiałem powód zdziwienia Heleny. Sądzi ona nas „pozytywistów“ jako ludzi, wprawdzie nie pozbawionych „czci i wiary,“ za jakich nas przedstawiają Stodolscy, ale jako ludzi bez żadnej wiary, i bez czci dla czegokolwiek. Usiłowałem przekonać ją, że tak nie jest, a wśród tych usiłowań schwytałem ją na tem, że sama nie wierzy, nawet w istnienie Boga. To dało nam powód do dysputy teologicznej, która wznawia się jeszcze ciągle od czasu do czasu. Gmach, z którego składała się niegdyś jej religja, był zbyt misternym i skomplikowanym, wyjęto z niego przypadkiem jednę cegiełkę, i cały runął.... Nie wiem, czy udało mi się ją przekonać, namówiłem ją wszelako, że będzie czytała Chateaubriand'a z uwagą. Może on dokaże tego, co mnie się nie udało. Zastanowił ją nieco mój argument, że największe w świecie duchy wierzyły w Istotę Najwyższą, i że nie było między nimi wcale zupełnego ateisty....“

Innym razem znowu pisał pan Tadeusz, z Paryża:

„....Opera tutejsza jest w tej chwili tak do skonałą, że chociaż, jak wiesz, nie jestem ani miłośnikiem, ani znawcą muzyki, przesiaduję chętnie w loży całemi wieczorami. Dziwna rzecz, że Helena, która gra z wielką biegłością na fortepianie, i uchodziła tam u nas za znakomitą dyletantkę, tutaj tylko chętnie patrzy, a wcale nie słucha. W towarzystwie powtarza zdania, które wyczytała lub słyszała, własnych wrażeń zdaje się nie odbierać wcale. Nie wątpię, że potrafiłaby je sformułować, gdyby istniały, bo mówić umie i lubi. Już to ta nasza muzykalność salonowa, to także *humbug* niepospolity! Panny uczą się niby grać, i niby zachwycają się dobrą egzekucją, a w rzeczywistosei doznają tylko nieokreślonego rozdrażnienia nerwów i zajmuje je najwięcej osoba egzekutora. Dla tego też, skoro powodzenie zawisło od publiczności żeńskiej, koncertantki miewają go zawsze mniej od koncertantów. Nic to nie szkodzi, że większa część tych ostatnich nie liczy się wcale do Adonisów. Kobiety znoszą u mężczyzn znaczny stopień brzdoty i znajdują ją „interesującą.“ Mężczyzni są wybredniejszymi i dla tego to podobnoś rozgłos najsławniejszej artystki nie wytrzyma pierwszego zmarszczka na jej twarzy. Helena, której udzieliłem tych moich sceptycznych uwag, protestowała słabo i zgodziła się ze mną w końcu zupełnie. Jestem jej wdzięczny za to — staje się ona z każdym dniem szczerszą i otwartszą, sądzę, że w końcu porozumiemy się zupełnie i nie będzie ani odrobiny obłudy i udawania między nami. Wtenczas będę zupełnie szczęśliwym.“

Nakoniec, państwo Zameccy wrócili z wojażu, prosto do Rymiszowa, siedziby pana Tadeusza. Nikt nie urządzał im oficjalnego przyjęcia, ale gromada sama wyszła naprzeciw nich, na kopiec graniczny, z wójtem na czele, z chlebem i solą, aby powitać nową panię. Bito w dzwony w małym kościółku, kiedy powóz wtaczał się na dziedziniec zamkowy, i kiedy służba zbiegała się zewsząd z niekłamaną radością w oczach, ucałować rączki państwa. Zamek był staroświecki, odbudowany z gruzów i zastosowany do potrzeb nowoczesnych. Z jednej strony były jeszcze szczątki dawnych fortecznych wałów, z rowem, z wieżami nad bramą i mostem zwodzonym, a wszystko to, choć zabierało wiele miejsca dającego się użyć nierównie pożyteczniej, utrzymane było starannie jako pamiątka z dawnych czasów. Po drugiej stronie ciągnął się ogród w guście z czasów Ludwika XIV. przechodzący dalej w park angielski. W zamku komnaty duże, wysokie, jak kaplice

meble starożytne, mnóstwo sprzętów, drobiazgów i obrazów ciekawych i cennych. Helena była dumną z tego wszystkiego, dumną z herbów, malowanych na szkle, w oknie nad bramą, dumną ze swojego męża. Zdawało jej się, że go kocha w tej chwili. Do niedawna jeszcze, w ślad za opinją publiczną, sądziła, że to materjalista, człowiek rachunkowy, gotów zaorać grób rodzonego ojca, aby zebrać więcej pszenicy. Dał jej dowody, że nie lubi rachować się, z nią przynajmniej. Teraz, choć ustało poddaństwo, a z niem służalcze nawyknienia włościan, widziała jak garnęli się do niego z uszanowaniem, z miłością — snać nie rachował się i z nimi, i w sporach sąsiedzkich ucinał chętnie połę dla miłej zgody. Łatwiej to na dwunastu folwarkach, niż na jednym, potrzeba wszakże było być dobrym i rozumnym człowiekiem, aby mieć i taką miłość u ludu, a fortunę przytem rosnącą i kwitnącą. Gdy tak zbiegli się chłopi, gdy zbiegły się całe generacje ekonomów i leśniczych, kredencerzy i kucharzy, gumiennych i gajowych, klucznic, ogrodników, stajennych itd. gdy wszystko tak serdecznie cieszyło się widokiem „pana,“ Helena po raz ponoś pierwszy w życiu zrozumiała, co znaczą wyrazy „dobry człowiek.“ Zdawało się jej, powtarzam, że go kochała, ale zdawało jej się tylko, Nie można kochać, patrząc jak ona, a n i e p o j m u j ą c, że ktoś żywi w sercu pietyzm dla rzeczy świętych i poważnych, a nie cierpi obłudy; że ktoś lubi piękne obrazy, piękną muzykę, i piękne książki, a umie bez cudzej pomocy odróżniać je od miernych i lichych; że ktoś rad czyni dobrze na prawo i na lewo, a nietylko nie otacza się aureolą cnót obywatelskich, ale owszem używa wcale dwuznacznej sławy „pozytywisty“ i materjalisty. Bądź co bądź, w tym starym zamku, daleko od niemiłych wspomnień, od dawniejszego otoczenia, wśród nowych ludzi i nowych a przyjemnych warunków życia, zdawało się Helenie nietylko, że kocha Tadeusza, ale że go jest godną, i że będzie mu dobrą żoną. To też potrafiła być uprzejmą dla wszystkich, wielkich i małych, którzy przychodzili składać jej swoje hołdy, i zrobiła na wszystkich jak najlepsze wrażenie.

Zjawił się ksiądz proboszcz, mały, czerstwy staruszek, siwy jak gołąb', a wesoły i facecjonat jak rzadko. Posłano do miasteczka, leżącego ćwierć mili, po „doktora,“ nie do chorego, ale do wiska, szanowny uczeń Eskulapa był bowiem stałym partnerem p. Zameckiego. Pacjenci, nie zastawszy go w domu, posyłali jak w dym do Rymiszowa, co każdym razem niezmiernie irytowało dr. Chimerskiego, utrzymywał bowiem, że kto ma umrzeć lub wyzdrowieć, umrze lub wyzdrowieje bez niego, a wista przecież nie podobna grać z dwoma kołkami. Pani Helena obiecała zaradzić tej niedogodności i jak najprędzej przygotować się do rygorozów z wielkiego i małego s z l e m a, ażeby w razie potrzeby mogła zastąpić dr Chimerskiego. Oprócz tego powiedziała mu, że nie wierzy w homeopatję, ani w hydropatję, i że magnetyzerowie są jej zdaniem oszustami na wielki kamień, a nadto, nim jeszcze wstano od objadu, kazała podać fajki i cygara i przyznała się, że sama czasem pali ukradkiem. Na tej zasadzie zawiązało się natychmiast przymierze zaczepno-odporne między nią a szanownym konsyliarzem, który nie lubił szarlatanów a nie mógł pół godziny obejść się bez dymu tytoniowego. Niemniej doskonała harmonja zapanowała także między panią Heleną a księdzem proboszczem, wielkim nieprzyjacielem wszelkich „nowatorów“ religijnych. W istocie, o ile dr. Chimerski nie cierpiał homeopatów i magnetyzerów, o tyle ksiądz Chyżycki, przy całej swojej dobroduszności i poczciwości, był przeciwnikiem OO. Jezuitów i spokrewnionych z nimi zakonów. Pani Helena nadmieniła złośliwie, że ojcowie ci mają w mieście wielkie powodzenie u starych i młodych grzesznic, zacząwszy od tych, które noszą mitrę, a skończywszy na tych, które myją rondle. Ksiądz kiwał głową znacząco i zapędził się poczęstować panią Helenę tabaczką, ale opamiętał się zawczasu. Jednem słowem, po kwadransie rozmowy nie było na dwadzieścia mil w koło, rozumniejszej i milszej kobiety nad panią Helenę, według zgodnych—jak rzadko zresztą — zdań ks. Chyżyckiego i dra Chimerskiego. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE *)

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział I.

(Huragan w r. 1865. — Głosy w powietrzu. — Balon porwany trąbą powietrzną. — Powłoka balonu pęka. — Wskróś tylko morze. — Pięciu podróżników. — Co się dzieje w łódce balonu. — Ląd na widnokręgu. — Rozwiązanie dramatu.)

— Podnosimy się?
— Przeciwnie! idziemy w dół!
— Gorzej, panie Cyrus, spadamy!
— Przez Boga! wyrzucić balast!
— To już ostatni worek!
— A co, podnosi się balon?
— Nie!
— Słyszę jakby plusk fal!
— Pod nami morze!
— Nie więcej jak 500 stóp pod nami!

Wówczas potężny głos zagrzmiał w powietrzu:

— Precz z wszelkim ciężarem!... wyrzucić wszystko! i dalej na bożą łaskę!

Takie słowa zabrzmiały w powietrzu, nad nieprzejrzaną pustynią wód Oceanu Spokojnego, około godziny czwartej wieczorem, dnia 23. marca 1865 roku.

Któż nie pamięta owego wściekłego wichru północno-wschodniego, który w owym roku rozszalał się był w sam czas porównania dnia z nocą (*aequinoctium*) i kiedy barometr spadł do 710 milimetrów?... Był to huragan, który trwał bez przerwy od 18. do 26. marca. Okropne spustoszenia sprawił w Ameryce, w Europie i Azji, ogarnąwszy całą strefę na 1800 mil szeroką, w kierunku skośnym do równika, od 35. równoleżnika półn. aż do 40. równoleżnika połud.! Miasta poburzone, lasy powyrywane z korzeniem, brzegi pozrywane przez góry wód toczące się wściekłym pędem, okręty na ląd powyrzucane, których na setki liczyły wykazy biura *Veritas*, całe okolice spustoszone przez trąby, które w swym pochodzie miażdżyły wszystko, tysiące trupów na lądzie, tysiące przez morze pochłoniętych: takie ślady wściekłości swej pozostawił po sobie ów straszliwy orkan. W klęskach przeszedł obydwa orkany, z których pierwszy 25. października 1810, drugi 26. lipca 1825 spustoszyły tak okropnie Hawanę i Gwadelupę.

Otóż w tej samej chwili, kiedy tak straszne katastrofy dokonywały się na lądzie i na morzu, odgrywał się także we wzburzonych strefach napowietrznych równie groźny dramat.

W istocie balon jakiś niesiony jak piłka na grzbiecie trąby, porwany wirem powietrznym, przelatywał przestrzeń z szybkością 90 mil na godzinę *), kręcąc się do koła własnej osi, jak gdyby nim miotał *malstrom* **) powietrzny.

U spodu balonu, przymocowana linami, kołysała się łódka, w której siedziało pięciu podróżników, zaledwie widzialnych wśród tych gęstych wyziewów zmięszanych z cząsteczkami wody, które ciągnęły się aż do samej płaszczyzny oceanu.

Skądże się wziął ten balon, ta igraszka straszliwej burzy? Z którego końca świata wyleciał? Niepodobieństwem ażeby się to stało podczas trwania orkanu. Huragan zaś trwał już od pięciu dni a pierwsze jego objawy rozpoczęły się 18. marca. Możnaby więc było sądzić, że balon przychodził z bardzo daleka, gdyż w ciągu 24 godzin musiał przelecieć co najmniej przestrzeni 2000 mil.

W każdym razie podróżni nie mogli posiadać sposobu obliczenia przestrzeni, przebytej od chwili swego wyjazdu, brakowało im bowiem do tego wszelkiego punktu porównawczego i wszelkiej podstawy obliczenia. Co więcej, rzecz dziwna! nie czuli nawet gwałtowności burzy, która nimi miotała. Nie czuli ani wiru, który kręcił nimi, ani pędu w kierunku poziomym! Nie byli w stanie przeniknąć wzrokiem tej gęstej mgły kłębiącej się pod nimi. Dokoła nie widzieli nic prócz mgły. Tak gęste były chmury, że nie podobna im było rozróżnić, czy to dzień, czyli noc. Ani promień światła, ani gwar żaden z ziemi, ani szum oceanu nie mógł do nich dolecieć, w tę ciemną głuchą nieskończoność, dopóki w wyższych unosili się strefach. Dopiero nagłe spadanie balonu poświadomiło ich o niebezpieczeństwie, jakie im gotowały huczące pod nimi bałwany morskie.

Tymczasem balon wypróżniony z ciężących przedmiotów, jak amunicja, broń i zapasy żywności, wzniósł się znowu w wyższe pokłady atmosfery, do wysokości 4500 stóp. Podróżni, przeświadczywszy się, że mają pod sobą morze i wiedząc, że mniejsze niebezpieczeństwo grozi im u góry niżeli w dole, bez wahania wyrzucali z łódki najpotrzebniejsze przedmioty, ażeby tylko nic nie utracić z gazu, tej duszy balonu, która ich unosiła po nad otchłanią morską.

Noc upłynęła wśród ciągłego niepokoju,

---

*) Rozgłośna sława i najgorętsze uznanie, jakie w całym świecie cywilizowanym zyskały dzieła Juljusza Verne, przypisać należy głównie onej genjalnej metodzie popularyzowania prawd naukowych, zapomocą której wyłuszczył w nich autor cały szereg prawideł i zagadnień świata przyrodniczego w sposób zarówno przyjemny, zajmujący, przystępny jak gruntowny. Metoda ta polega na tem, ażeby do umysłu przemawiać za pośrednictwem wyobraźni. Prawdy naukowe przyobleczone w barwne kształty fantastycznych opowieści, łacniej lgną do umysłu nie przywykłego do abstrakcyjnego myślenia, niźliby to możliwem było za pomocą suchych reguł, definicyj, formułek i dat. Rzeczą zaś myślącego czytelnika, jest odkryć pod tą barwną powłoką zdrowe ziarno nauki i przyswoić je sobie, czego właśnie spodziewamy się po naszych czytelnikach!... Inaczej cel dzieła byłby chybionym! Wybraliśmy ku temu jedno z najnowszych i najmniej jeszcze znanych u nas dzieł Vern'ego *L'Ile mysterieuse*, które równocześnie ogłasza w przekładzie, jednak w pojedyńczych tylko wyciągach, warszawski *Przyjaciel dzieci*. Czytelnikom naszym podajemy to dzieło w całości. (Przyp. redakcji).

*) t. j. 46 metrów na sekundę albo 166 kilometrów na godzinę. (Przyp. autora.)

**) M a l s t r o m (Moskenstrom) na co nie ma wyrazu francuskiego, a tem mniej polskiego —są to prądy morskie na morzu północnem niedaleko wybrzeża Norwegji, rodzaj wirów, których się bardzo obawiają żeglarze. (Przyp. tłum.)

który byłby w stanie o śmierć przyprawić ludzi obdarzonych mniejszym hartem i siłą ducha. Wreszcie zaświtał dzień a z brzaskiem jego huragan zdawał się tracić nieco na gwałtowności. W dniu tym 24. marca ukazywały się niektóre objawy przesilenia burzy. Ze świtem chmury bardziej pęcherzowate popowracały napowrót w wyższe regiony niebios. Po kilku godzinach trąba powietrzna wydęła się i pękła. Huragan zmienił się w silny wicher, czyli prąd pokładów atmosferycznych zmniejszył się o połowę. Był to jeszcze, jak powiadają marynarze francuscy „une brise a trois ris“, niemniej przeto zamęt żywiołów uspokoił się znacznie.

Około godziny jedenastej powietrze oczyściło się widocznie w wyższych swych pokładach. Atmosfera wydzielała ze siebie ową wilgoć przezroczystą, którą widać a nawet czuć po przejściu każdego wielkiego meteoru. Nieprawdopodobnem było, ażeby huragan posunął się tylko dalej ku zachodowi, zdawało się raczej że zdusił się sam w sobie. Być może że rozpłynął się cały w kaskadzie elektrycznej, po pęknięciu trąby, jak to się wydarza czasem przy trąbach szalejących po oceanie indyjskim.

Lecz w tym samym czasie dało się czuć także na nowo zniżanie się balonu, powolne lecz ustawiczne, ku niższym pokładom powietrza. Zdawało się nawet, że balon zwolna opada i że powłoka jego rozszerzając się coraz bardziej, przechodzi z kształtu kulistego w owalny.

Około południa balon wznosił się już tylko 2000 stóp nad powierzchnią morza. Cała objętość jego wynosiła 50.000 stóp kubicznych i dzięki swej tęgości mógł się był długi czas utrzymywać w powietrzu, bądź wzbijając się wysoko, bądź też pędząc w kierunku poziomym.

W tej chwili wynosili podróżni ostatki żywności obciążające jeszcze łódkę, chowając tylko po kieszeniach niektóre drobniejsze narzędzia, a jeden z nich, wspiąwszy się na obręcz, gdzie się zbiegały liny sieci balonowej,*) usiłował przymocować silniej dolny przyrząd balonu.

Widocznem było że podróżni nie mogli już dłużej podtrzymać balonu w górnych strefach i że brakło im gazu!

Zguba ich więc była niechybną!

Jak daleko sięgał ich wzrok nie widać było ani lądu ani żadnej wyspy. Na całej przestrzeni nie było ani jednego punktu stałego, ani kawałka ziemi, gdzieby mogli wyrzucić kotwicę.

Dokoła nie było nic, jak tylko nieskończone morze, którego bałwany łamały się z nieporównaną jeszcze gwałtownością. Ocean bezgraniczny, którego krańców nie mogli dostrzedz, pomimo że z wysokości swej obejmowali dokoła wzrokiem 40 milową przestrzeń! Była to wilgotna płaszczyzna, którą bił i chłostał niemiłosiernie huragan. Morze wydawało się jak stado rozhukanych rumaków ze śnieżystemi grzywami... Ani płatka ziemi na widnokręgu, ani jednego okrętu!

Potrzeba więc było wszelkiemi sposobami powstrzymać spadanie balonu, ażeby nie pochłonęły go fale morskie. Widocznie pracowali nad tem podróżnicy w łódce. Lecz pomimo ich usiłowań, balon spadał coraz niżej a jednocześnie posuwał się z olbrzymią szybkością w kierunku, w którą wiał wicher, t. j. z północno-wschodniego a w południowo-zachodnim.

Okropne było położenie tych nieszczęśnych! Snać nie byli już więcej panami balonu. Usiłowania ich były bezskuteczne. Powłoka balonu opadała i klęsła coraz bardziej. Gaz ulatywał a nie było sposobu powstrzymać go. Spadanie przyspieszało się widocznie, a około południa łódka oddaloną już była tylko na 600 stóp od powierzchni oceanu.

W istocie niepodobna było zapobiedz ulatywaniu gazu, który wolno wymykał się przez szparę w powłoce balonowej.

Wypróżniając łódkę stopniowo ze wszystkich znajdujących się w niej przedmiotów, mogli byli podróżni jeszcze przez kilka godzin utrzymać się w powietrzu. Lecz tym sposobem zdołanoby opóźnić tylko nieuniknioną katastrofę, a jeśliby z zapadnięciem nocy nie ukazał się jaki ląd, podróżni wraz z łódką i balonem musieliby zginąć w morzu.

Ostatniego sposobu, jaki im jeszcze pozostał, spróbowali w tej chwili. Podróżni byli snać ludźmi niepospolitego męstwa, co umieją patrzeć śmierci w oczy. Ani jedno słowo szemrania ni skargi nie wyrwało się z ust żadnego. Byli zdecydowani walczyć do ostatniej chwili i użyć wszelkich sposobów dla spóźnienia swej zguby. Co się tyczy łódki, był to rodzaj kosza plecionego z łozy, niesposobnego do pływania i nie było możności utrzymania jej na powierzchni fal skoro by w nie wpadła.

O godzinie drugiej balon wznosił się już zaledwie na 400 stóp nad morzem.

W tej chwili odezwał się głos męzki — głos człowieka, którego serce nie zna trwogi. Głosowi temu odpowiedziały inne niemniej mężne głosy.

— Wszystko już wyrzucone?

— Nie, jest jeszcze 10.000 franków w złocie!

W tej chwili wpadł w morze ciężki worek.

— Podnosi się balon?

— Trochę, lecz wkrótce spadnie napowrót!

— Czy jest co jeszcze do wyrzucenia?

— Nic!

— Jakto? a łódka?

— Uczepmy się sieci! i do morza z łódką!

Był to w istocie ostatni jeszcze środek ulżenia balonowi. Odcięto sznury przymocowujące łódkę do obręcza i balon wzniósł się w górę do wysokości 2000 stóp.

Pięciu podróżnych wspięło się po sznurach na wierzch obręcza i uczepiwszy się sieci spoglądali w przepaść.

Wiadomo nam jak wielką czułość statyczną posiadają balony. Dość wyrzucić najlżejszy przedmiot, ażeby wywołać ruch w kierunku pionowym. Balon unoszący się w powietrzu, jest tem samem czem waga o matematycznej dokładności. Łatwo więc pojąć, że odjąwszy mu znaczny stosunkowo ciężar, pęd jego w górę będzie wielki i raptowny. To samo stało się teraz.

Lecz pokołysawszy się zaledwie przez chwilę w wyższych strefach, balon począł napowrót spadać. Gaz ulatywał wciąż przez szparę, którą niepodobna było naprawić.

Podróżni uczynili wszystko co było w ich mocy. Odtąd żaden już środek ludzki nie mógł ich ocalić. Nie mogli już więcej liczyć na nic, jak tylko na pomoc bożą.

O godzinie czwartej balon oddalony był jeszcze tylko 500 stóp od powierzchni morza.

W tej chwili dało się słyszeć głośne szczekanie. Pies towarzyszył podróżnym, tuż obok swego pana uczepiony w sieci balonowej.

— Top! coś zobaczył?—zawołał jeden z podróżnych.

Po chwili zawołał silny głos:

— Ziemia! ziemia!

Balon pędzony ustawicznie wichrem w kierunku południowo-wschodnim, przeleciał od świtu znaczną przestrzeń, setki mil, i w istocie w kierunku rzeczonym ukazał się dość wyniosły kawałek ziemi.

Lecz ziemia ta oddaloną była jeszcze o mil 30 pod wiatr. Potrzeba było najmniej dobrej godziny, ażeby do niej przybić i to w tym tylko razie, jeśliby nie nastąpiło żadne zboczenie. Całej godziny! Ale czy pierwej nie uleci reszta gazu, która jeszcze pozostała w balonie?

Oto było straszne pytanie! Podróżni widzieli wyraźnie przed sobą ów punkt stały, do którego bądź co bądź należało przybić koniecznie. Nie wiedzieli co to było, ląd stały czy też wyspa, zaledwie wiedzieli w jaką stronę świata zagnał ich orkan! Lecz czy to ziemia zamieszkała czy nie, czy gościnnie ich przyjmie czy nie — byle tylko dostać się do niej!...

O godzinie czwartej widocznem było, że balon dłużej już utrzymać się nie był w stanie. W przelocie muskał sobą powierzchnię morza. Już grzbiety olbrzymich fal zmoczyły kilkakrotnie spód sieci, ociężając ją tym sposobem jeszcze bardziej, a balon podnosił się już tylko w połowie, jak ptak z przestrzelonem skrzydłem.

W pół godziny potem ziemia była już tylko o milę oddaloną, lecz balon, wycieńczony, opadły, rozdęty i pofałdowany, zawierał jeszcze tylko odrobinę gazu w górnej swej części. Podróżni uczepieni w sieci ciężyli mu już zanadto i wkrótce do połowy pogrążeni w morzu wystawieni byli na wściekłość morskich bałwanów. Powłoka balonu wydęła się jak olbrzymia kieszeń półkolista, a wiatr dmąc w nią z tyłu pędził balon niby okręt po morzu. Może w ten sposób dobije do lądu!

Oddalenie od ziemi wynosiło już tylko około 240 sążni, gdy w tem krzyk straszliwy wydobył się naraz z czterech piersi. Balon, który jak się zdawało, więcej już podnieść się nie mógł, popchnięty naraz gwałtownie przez morskie bałwany, podniósł się niespodziewanie w górę. Jak gdyby w tej chwili pozbył się nowej części swojego ładunku, wzniósł się do wysokości 500 stóp, i tam napotkał rodzaj powietrznego wiru, który zamiast popędzić go ku brzegowi, popchnął go w kierunku prawie równoległym. Wreszcie we dwie minuty później zbliżył się do brzegu w kierunku skośnym i upadł na piasek nadbrzeżny, w miejscu gdzie już nie sięgały fale morskie.

Podróżni pomagając sobie nawzajem wywikłali się z sieci. Balon pozbywszy się reszty ciężaru popędził dalej z wiatrem, jak ptak raniony, który na chwilę odzyskał życie—i znikł w przestrzeni.

W łódce było pięciu podróżnych i pies, a balon wyrzucił na brzeg tylko czterech.

Jeden z podróżnych musiał snać zostać porwanym przez ów bałwan, który uderzył w sieć i to zapewnie sprawiło, że balon pozbywszy się części swego ciężaru, wzniósł się raz jeszcze, a w kilka minut później upadł na brzegu.

Zaledwie czterej rozbitki — słusznie należy

*) Balon, jak wiadomo, pokryty jest cały siecią sznurową, służącą częścią dla wzmocnienia go, częścią zaś dla lepszego przymocowania łódki. Sznury tej sieci zbiegają się wszystkie do koła drewnianego obręcza, zwanego „równikiem“ i do spadających ztamtąd końcow tychże przytwierdzona jest łódka balonowa. (Przyp. tłum.)

im się ta nazwa — dotknęli stopą lądu, gdy w tem, postrzegłszy stratę towarzysza, zawołali jakby z jednej piersi:

— Może usiłuje dostać się wpław! Na ratunek, na ratunek! (C. d. n.)

POGADANKI.

XI.

W ostatnich dniach lutego, pochowano we Lwowie jednego z najstarszych i najdzielniejszych weteranów naszych, Franciszka hr. Łosia. Była to postać coraz rzadsza u nas: prawdziwy żołnierz, zawsze biegnący tam, gdzie go powinność wzywała, zawsze trwający do końca, a nigdy nie widziany w komitetach i organizacjach, nie biorący udziału w agitacjach i knowaniach partyjnych. Życie jego, opisane dokładnie, byłoby historją półwiekowych bojów polskich. W r. 1812, o ile mi wiadomo, był oficerem w załodze twierdzy zamojskiej. Taka to przestrzeń czasu dzieliła od nas pierwsze wojenne wspomnienia staruszka, którego niedawno widzieliśmy między sobą, pochylonego wiekiem, okrytego bliznami, ale używającego całej pełni sił umysłowych. Sama myśl o tem ma w sobie coś dziwnie uroczego i wzniosłego. Po upadku W. Kstwa warszawskiego, ś. p. Franciszek wstąpił do nowo utworzonej armji królestwa Polskiego, i powstanie listopadowe zastało go w niej majorem. Ranny, dostał się do niewoli. Opowiadano mi, że kiedy spisywano jeńców, podał nazwisko swoje jako „Elenthier." Zapytany przez kolegów, dla czego używa pseudonimu, odpowiedział, że „jeszcze żaden Łoś nie był w niewoli, i on nie chce być pierwszym." Z cerkwi w Wiatce, gdzie zamknięto jeńców, spuścił się po uwiązanej bieliznie do rzeki, i uszedł płynąc, mimo pogoni i strzałów kozackich. Przebrany za chłopa, przybył pieszo do Narola, majątku swego kuzyna hr. Tadeusza, w żółkiewskiem. Tu bawił do r. 1848 trapiony odnawiającemi się ranami i gośćcem, którego się nabawił w obozach. Ale nadeszła pamiętna wiosna tego roku, i zapomniał o bolu. Nie zapomnę nigdy, jak 18. marca, bawiąc się w piłkę w długiej alei lipowej, wiodącej od zamku do miasteczka, gdzie ojciec mój był urzędnikiem, ujrzałem nagle p. Franciszka biegnącego co tchu, z gazetą w ręku, a za nim cięższego nierównie p. Tadeusza, usiłującego go dopędzić. Ojciec mój wyszedł na ganek, zdziwiony także tym widokiem.

— Rewolucja! Komisarzu, rewolucja, chwała Bogu! — wołał hr. Franciszek.

— Konstytucja! — dodawał hr. Tadeusz.

I poczęto głośno czytać piorunujące wieści, które — dalipan — drukowane były w „Gazecie Lwowskiej!" Ale nikt nie mógł dokończyć, bo każdy na przemian śmiał się i płakał z radości. Ile to nadziei obudził ten marzec r. 1848 dziwnemi, niespodziewanemi nowinami, których odgłos poruszał najodleglejsze, najcichsze zakątki Europy!

Ś. p. Franciszka nazajutrz już nie było w Narolu. Pospieszył do Lwowa, na instruktora gwardji narodowej, a ztąd na szersze i poważniejsze pole działania, do Węgier. I tu wytrwał *usque ad finem* — kiedy Görgey zdradzał sprawę ojczystą, on nie złożył broni. Pokłutego przez kozaków podniesiono z placu boju, i przeszło pięćdziesięcioletniego starca wcielono jako szeregowca do „kompanji karnej." Reakcja ówczesna, im tchórzliwszą była w dniach pogromu, tem bardziej drobiazgowych i nikczemnych chwytała się środków zemsty.

Uwolniony nakoniec, odziedziczył po krewnym wioskę Jurów w Lubelskiem, gdzie osiadł i jeszcze w 1863 rwał się iść w lasy z powstańcami, ale gościec założył już stanowcze *veto* przeciw temu zamiarowi. Nic to — Moskale wzięli chęć za uczynek, i zabronili mu pobytu w Kongresówce. Zamieszkał więc we Lwowie, gdzie cieszyła go jeszcze organizacja „Orłów białych," do której przyłączył się dla zachęty młodszym.

Jako oficerowi regularnej armji, w moc zwyczajów grzeczności międzynarodowej, należał mu się kondukt wojskowy—ale tylko swoi odprowadzili go do grobu...

Słodszym będzie mu spoczynek, nie turbowany ceremonialnemi honorami, pod ramionami krzyża, wzniesionego na pamiątkę męczenników — jeżeli tylko dłoń ziomków złoży wieniec wawrzynu na żołnierskiej mogile.

* * *

O obchodzie jubileuszu Goszczyńskiego zda „Tydzień" sprawę w innej rubryce. Zrobiono wszystko, jak należało — chociaż nie obeszło się i bez tego, bez czego uroczystości podobne w całym świecie obejść się nie mogą. Mam tu w myśli ten humorystyczny szczegół, że pomiędzy spieszącymi w pierwszej linji oddać cześć i hołd wielkim i prawdziwym zasługom, znaleźć się musi zawsze pewien procent takich, którzy korzystają ze sposobności, aby sami ile możności mogli stanąć na świeczniku. Patrzcie, oto mąż sędziwy, i okryty sławą, a oto naród! Otóż temu mężowi, w imieniu tego narodu, ja oddaję hołd, ja, słyszycie? Drobiazgi takie nie czynią wszakże ujmy rzewności i wspaniałości obchodu. Wszak w najnowszym obrazie Matejki, wśród postaci pompatycznych, nadobnych, poważnych, dzielnych, nie razi ani trefniś, ani pudel, którym bawi się młody Zygmunt August...

To fatalniejsza, że jak jeden z uczestników uczty wyprawionej w sali ratuszowej zauważał, mamy mieć w Polsce „coraz gorsze wiersze i coraz gorsze wino." Złemu winu nie my wszakże winni, winni są Węgrzy, Austryjacy i Francuzi. Co się tyczy wierszy, Seweryn Goszczyński napisał ich tyle przecudnych, że niezawodnie przebaczy chętnie, rymowane przestępstwa, popełnione przez tego lub owego podrzędnego *Dichter-Barona* (vide: zjazd poetów niemieckich w Weimarze.) Zresztą wiersze były gładkie, i nie rozlaziły się, ale owszem, trzymały się „kupy," tylko nie było w nich jakoś tego zacięcia, jakie powinien mieć toast rymowany. Kornel Ujejski zaś, jak na złość, mówił prozą, a „Chochlika," który po nim we Lwowie bez wątpienia najgładziej włada rymem, nie było wcale na uczcie...

* * *

Doszły mię ze strony nader kompetentnej, bo ze strony czytelniczek „Tygodnia," reklamacje przeciw mojemu sprawozdaniu o odczycie prof. Billrotha, skierowanym przeciw studentkom medycyny i przeciw naukowym kwalifikacjom niewiast w ogóle. Zarzucono mi w tych reklamacjach niegrzeczność, z powodu iż jako właściwą sferę działania kobiet wskazałem gospodarstwo domowe, pierwsze wychowanie dzieci, a wreszcie — salon. Czy byłbym grzeczniejszym, gdybym paniom kazał stać na szyldwachu przed jeneralną komendą, albo jechać na lokomotywie w charakterze maszynistek i palaczek, albo nakoniec szukać bieguna północnego między białemi niedźwiedziami, po za cieśniną Smitha? A takie przecież miałoby to znaczenie, gdybym przemawiał za zupełnem równouprawnieniem kobiet, bo kto ma równe prawa, ma tem samem, równe obowiązki. Co więcej, powtórzono już nieraz, ale panie nie chcą tego słuchać, że gdyby im przyznano równe kwalifikacje i prawa z mężczyznami, dzisiejszy ich korzystny stosunek, oparty na chrześcijańskiej cywilizacji i na nowoczesnej ogładzie obyczajów, zniknąłby natychmiast. Wszczęłaby się walka o byt, w której kobiety uległyby, jak uległy w początkach rodzaju ludzkiego, jak wszędzie w naturze słabszy ulega silniejszemu. Nastąpiłyby potem: niewola i poniżenie kobiet, jak za czasów pogańskich, albo jak dzisiaj u ludów dzikich, albo i w Europie, u niewykształconych warstw ludności. Pytam się teraz, kto jest grzeczniejszym, czy ten, co wyzywa kobietę do tej nierównej walki, lub ten, co ją prosi, by została na kanapie w salonie, a tylko czasem zaglądnęła do dzieci i do — kuchni? Odpowiedź byłaby pożądaną.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

(Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań 1875.)

Dzieła poetyczne Zygmunta Krasińskiego, z wyjątkiem jednego „Agaj Chana", lekkiego utworu młodzieńczej fantazji, mają wszystkie charakter symboliki przyszłości Polski, a ztąd i przyszłego człowieczeństwa. Jest to ich wybitne messjaniczne znamię. Filozof, humanista, a przedewszystkiem Polak i chrześcijanin, wczas podjął mistrzowskiem piórem obrazowanie dziejącego się już w oczach naszych przewrotu stosunków i kształtowania się przyszłości społecznej. Jego „Irydion" jest jak Wallenrod Mickiewicza, ale inaczej pomyślany. „Zemsta" ojczyzny nie wskrzesi, lecz zaleje ją nieszczęściami. W imię „miłości" Chrystusowej potrafisz jedynie wskrzeszać umarłych i zbawić świat.

„Niedokończony Poemat", dzieło pośmiertne Zygmunta, kreśli w cudnych wizerunkach piekło dni teraźniejszych. Antynomia społeczeńska uosobiona w „Alighierim", który jest duchem Dantego i przedstawia przeszłość, i w „Pankracym", naczelniku demokratów polskich. Są tu i śliczne historjozoficzne poglądy. Widać duszę Napoleona w świecie dziejów ludzkich. „Grzmoty bitew przemienione w harmonję wspomnieniem. Co to za tłumy radośne? On ich wskrzesicielem. Odtąd ni króle ni ludy już władz nie dzierżą, ale narodowość i ludzkość, a w imieniu Pana. Ach! i postać ta już blednie! Przeżyty jej czas, odbyty jej trud. I wieczność ją woła."

„Tu dopiero koniec przeszłości. Za temi progi teraźniejszość się wszczyna, i zgromadzenie żywych duchów marzy o tem, „co stać się ma, bo stać się powinno". „Nie na zawsze Chrystus był odjęty nam; nie na zawsze światło żywota zaćmione. Oto uwielbion będzie „przez Ducha" Syn, a Duch z „Ojca i Syna" jest i obu miłośnie kojarzy. A jako w niebie tak i na ziemi". — Tak przemawia Alighieri. Pankracy

*

na to: „że zanim się spełnią te idee, Słowiańszczyzna i Polska muszą wyglądać jak jedno morze krwi „Przeklętyś z twoją przeszłością, z twoim historycznym głosem, który jako wiatr z grobu wieje, a dźwięczy i dźwięczy!“ Ale wnoszą trumny do sali. Chóry narodów obchodzą pogrzeb polskich demokratów; i słychać głos przeciągły: „umarli, umarli, umarli!“

„Nieboska Komedja“ stanowi dalszy ciąg tego poematu. Pierwiastek historyczny wciela się w hrabim Henryku, którego duch Dantego oprowadzał, a Pankracy jest jak był pierwiastkiem radykalnym. W walce, która się rozpoczyna między nimi, przyszłość zwyciężyć musi przeszłość. Arystokracja polska rozbita na zawsze. Czasy szlachty historycznej przeminęły. Ale i demokracja przeminęła „Galilee vicisti!“ z temi słowy pada i kona Pankracy.

„Trzy myśli Ligenzy“ są dalszym rozprowadzeniem zwycięstwa Galilejczyka (Chrystusa.) Między ludźmi a ludzkością stoją narody. Chrystus wcielił się w naród polski i cierpi w nim po raz drugi mękę krzyżową. Umiera w nim miljonami męczenników. I idzie z nim do piekieł, i zmartwychwstanie pospołu z nim. „I nastąpi odrodzenie się i przeistoczenie świata. A jako Chrystus-człowiek w Polskę, tak Chrystus-naród wcieli się w ludzkość całą. A Duch Ś. zajaśnieje nie jedynie w umiejętności, lecz w żywocie ludów, i odtąd snuć będzie pasmo ich dziejów“ (str. 244).

Dwu tułaczów, jak widzimy, i dwu hrabiów w kraju, składa się na socjalistykę polską. Jej wyższość nad teorje społeczne zachodu widoczna. Francuski duch jak zgłodniały zwierz chce li „żeru.“ Spekulacja niemiecka rozburza wszystko w nic, kończy nihilizmem, który także prowadzi do zaspokojenia żądz i chuci. Społeczność polska chce się oprzeć na Duchu Śtym, zdobyć sobie nieśmiertelność, i niebo przenieść na tuteczny świat.

Autor Panteonu sprawiedliwie podnosi ważność tułactwa naszego za granicą. Jest ono tam u źródła wiedzy i wielkiego socjalnego ruchu. W duchu polskim jedno i długie się urabia i na korzyść ojczyzny i ku spełnieniu świetnych kolei jej przyszłości obraca. Trafną równie i ta uwaga, w końcu socjalistyki przytoczona: że jak niegdyś Akademja Jagiellońska zarządzała oświatą całego kraju „niezależnie“ od rządu i kościoła, tak i teraz z grona mężów uczonych, zowiących się Towarzystwem naukowem (dziś cesarska akademja umiejętności) wyjść powinno kierownictwo oświaty krajowej. Będzie to pierwsza organizacja unji messjanicznej, jaką chciał założyć Wroński.

Wielką jest niezaprzeczenie zasługą Trentowskiego, że socjalistyce nadał formę i znaczenie, jakiegobyśmy nadaremnie po innych pisarzach społecznych szukali. Nie możemy się przecież zgodzić na pogląd jego na „politykę i historję“, dwie następne części humanistyki, które dla tego pobieżnie tylko przedstawia. Wedle niego polityka to miernota i nieuctwo, to lisia kretanina, i wilcza żarłoczność na sile oparta. Prawdą jest, że zasady chrześcijaństwa nie przejęły dotąd spraw i rządów politycznych, że one noszą na sobie znamię pogańskiego świata. Ale jeżeli właśnie dla tego nowa epoka dziejów ma je nietylko zchrześćjańczyć, lecz zamienić na działania i postępki pod wpływem Ducha Ś.; jeżeli polityka stać się ma messjaniczną i realizować wielkie idee, które socjalistyka już wykryła; nie widzimy powodu takiego jej poniżania. Zdania Tayleranda, że mowa na to człowiekowi dana, aby zatajał nią, co myśli; że tylko głupi chce prawdę odsłonić, mądry ją zasłania, a w imię jej rządzi światem; zdania takie są przemijające. A gdy naród sam o sobie stanowić będzie, pojawić się nawet nie będą mogły.

Podobnie „ekonomja polityczna“ zdaniem autora ma mieć za zasadę „że praca wyżywi każdego i przyniesie mu zamożność“ (str. 285) i dla tego stać ma na zawadzie nietylko filozofji, ale i wszystkim umiejętnościom wyższym. Jest to i owszem nauka gospodarstwa narodowego, chodzi jej o środki pomyślności i kwitnącego stanu kraju, wymaga rozwoju wszystkich sił narodowych a więc nie tylko przemysłu i pracy ale i każdej umiejętności. Jeżeli autor znakomitego wieszcza naszego, Zygmunta Krasińskiego, nazywa filozofem i jeżeli Ludwika Królikowskiego, deklarowanego wroga filozofji, pomieszcza między pisarzy filozoficznej socjalistyki, trudno pojąć dla czego nazywa „obłędem myśli“ że ktoś bezimiennego pisarza ekonomji politycznej z r. 1843 do filozofów policzył. Pisarz ten wykształcił się na filozofji Hegla, a kto czytał pomienione dzieło jego, uznać musi, że jest na kategorjach tej filozofji zbudowane.

Nakoniec ani z zasadami towarzystwa wiecznego pokoju, ani z messjaniczną przyszłością społeczności ludzkich nie zgadza się, co autor przytacza o „wojnie“. „Wojna potrzebna na ludzkości piersiach, jak powietrze w jej piersiach. Ona odwilż zacności i cnoty, odżyw świata moralny, rozniecenie ducha i ognia rycerskiego, który był, jest i będzie człowieczeństwa zaszczytem. Jak nawalnica piorunem i gradem hucząca, odświeża stęchłą upałami atmosferę, tak wojna dobrodziejstwem jest po długim, a w nadużycia i ohydy szczodrym pokoju. Co pojedynek między mężami, to wojna między narodami, czyli ostateczny i jedyny nieraz do ocalenia sławy poczciwej i powinności środek“ (str. 294). W Ameryce wyzywającego na pojedynek wsadzają do czubków. A czem jest wojna dość spojrzeć na spustoszenia wojną nawiedzionego kraju i być świadkiem rozbestwienia natury ludzkiej podczas bitwy.

Historyków ma Trentowski przynajmniej za „uczonych“, kiedy politykom wszelkiej nauki odmówił. Z tego może względu opracował tę ostatnią część humanistyki, z pewnem ciepłem, a nawet zachwytem. Wyborny, wielekroć poetyczny styl pociąga do siebie czytelnika. Powód dla którego i historję kładzie niżej każdej innej umiejętności wskazuje następujące jego zdanie: „A „umiejętność“ historyka? Tu rozśmiać się wolno. Ażali on nie gruntuje wszystkiego na kronice, zaczem „na powadze“, która, jak w teologji, tak i wszędy, jest niepodległej i twórczej, lub istnej umiejętności wrogiem? Czy wiara, mówię wiara, ta teologiczna opoka, nie jest również historji osią i piastą?“ (str. 355.) Trudno pojąć, jak mógł takie zdanie wyrzec znakomity, filozoficzny pisarz Panteonu. Powiedz mi, coś czuł, a nie coś widział, żąda dziś każdy od opisującego wrażenia pięknej natury. Bo każdy podróżny przenosi ducha swego w jej cudne obrazy, i z ducha swego je odzwierciadla. Dla tego opisy Alp, Renu, Dunaju, spadku Niagary, tak są zajmujące, acz tysiąckroć powtarzane. Podobnie w historji kronika i źródła są tylko materjałem, z którego każdy inny historyk, inną wiedzę, inne natchnienie czerpie, a tymsamym inny gmach architektoniczny buduje. Będzie to twórcze, swobodne dzieło jego ducha, a nie jakiejś powagi, jaką jest wiara w objawienie religijne. Czem będzie historjozofja, wykazująca postępowy pochód ducha dziejowego w ludzkości, wedle koniecznych kategoryj i następstw logicznych? Maż ona zmyślać, przekręcać, fałszować fakta historyczne, zamiast je rozświecać i wskazywać rozwój konieczny następstw? Czyż krytyka historyczna nie obala wszelką kroniki i tradycji powagę? Nie. Historja jest zaprawdę jedną z najwyższych umiejętności.

Podajemy jeszcze pokrótce główny podział nauk historycznych. Do „propedeutyki“ należą: 1) nauki pomocnicze: „paleologja“, „filologja“, „lingwistyka“; 2) nauki zasadnicze: „jeografja“, „chronologja,“ „etnografja“; 3) nauki źródłowe: „kronikarstwo“, „pomnikarstwo“, „dziejopisarstwo nowe“. Historja sama rozpada się na „historję polityczną“, „historję naukową“ i „historję historji“ (dzieje dziejopisarstwa). Do pierwszej należą: historja królów i bohaterów, historja szczepów i ludów, historja konstytucyj. Do drugiej policzają się historja umiejętności, historja sztuk pięknycch i historja przemysłu. Trzecia nareszcie przedstawia: dzieje historji politycznej, dzieje wszech historji niepolitycznej, nakoniec dzieje filozoficznych pojęć o historji.

(C. d. n.)

Listy z Niemiec,

III.

(Dokończenie.)

Mniej rycerskim i co ważniejsza mniej logicznym od młodego docenta okazał się stary akademik i znany z wystąpień w sprawie kobiecej pisarz Edward Reich, który swe *Studien über die Frauen* opublikował w dużem dziele (Leipzig 1875). Jest to praca niewątpliwie bardzo uczona, poważna, dobremi pragnieniami ożywiona, słowem jest w niej wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy — głębokości w rozumowaniu. Reich — jak wszyscy pośrodkowcy, którzy pod pozorem zachowania niezależnego stanowiska, z obawy nienarażenia się nikomu i z chęci dogodzenia wszystkim, starają się utrzymać w matematycznie równej od każdego krańca odległości, — Reich, mówię, jest takim umysłowym ekwilibrystą, który idąc po linie przeciągniętej pomiędzy dwiema ostatecznościami, uważa tylko na to, ażeby się na jedną lub drugą stronę zbyt nie przechylił. Gdzie prawda, on nie wie i wiedzieć może nie pragnie. Ile razy tylko ściśle rozwijane rozumowanie wiedzie go na ostateczne krańce, choćby doń się ztamtąd złote pewniki uśmiechały, on się wróci. Jest to gładka, ociosana z wszelkich kantów, pod miarę przystrzyżona natura nacjonalnego liberała, przeniesionego do nauki; typ w całym świecie najpowszechniejszy, umysłowy mierzyn, jakich całe (najlepiej utuczone) stada pasą się spokojnie na pismienniczych wygonach. Naturalnie przestrzegający równowagi w sobie akademik przedewszystkiem ją kobietom zaleca. Tu jednak potknął się nieco szanowny ekwilibrysta, co dostrzegł niezmiernie bystry, jeden z najzdolniejszych obrońców kobiecego wyzwolenia w Niemczech, H. Dohm i wybornie jego nieproporcjonalność wyzyskał. Reich nakazując kobiecie utrzymanie umysłowej równowagi i wydzielając jej bardzo skromną cząstkę wiedzy, jednocześnie wymaga, ażeby uczucie rozwijane było do nieskończoności — na co Dohm dowcipnie odpowiada, że w takim razie dla dobra owej równowagi i wiedza powinna być równomierną, to jest także nieskończenie wielką. Odsądziwszy kobiety od wszelkich zajęć, których im tradycja odmówiła, daje Reich taki motyw swym wyrokom: „Kobieta sądzi tylko z pozoru i po wierzchu. Do owej rozwagi która na umysł spokojnie działa, jest ona ogółem biorąc niezdolna.“ Przekazuję wam czytelniczki szczegółowy proces z Reichem o wyrządzoną wam krzywdę, gdyż co do mnie za dużo już mówiłem i pisałem za wami, ażebyście mi dziś mogły

odmówić dyspensy. W Niemczech *Studien* robią lepsze wrażenie niż na to zasługują, chociaż i tu odzywają się głosy, według których „autor o tyle tylko korzystał ze swojej bogatej bibljoteki, o ile mu potrzeba było związać rózgę na skarcenie emancypacyjnych zachcianek.“

Z kolei wypada mi podziwiać niemieckie odkrycia. I tak profesor berlińskiego uniwersytetu Karol Werder dowodzi w swoich *Vorlesungen über Shakespeare's Hamlet* (Berlin 1875), że w notatce znalezionej przy pierwszem wydaniu Hamleta, a składającej się ze słów: „duch występuje w domowem ubraniu“ odkrył skarby niezmiernie drogocennych objaśnień, które otwierają nową epokę w badaniach nad Szekspirem. Jeśli wam się to odkrycie nie wydaje zbyt doniosłem, to pamiętajcie że kropla wody jest przezroczysta, a jednakże pod mikroskopem roi się tłumem żyjątek. Dla czegoż więc badawczy profesor spojrzawszy na swą notatkę przez mikroskop swego powiększającego ducha, nie mógł w niej dostrzedz wielu dla zwykłego rozumu niewidzialnych prawd? Że naturalnie nikt przed Werderem Hamleta dobrze nie zrozumiał, to zaledwie potrzebuję dodawać. Wykład szanownego profesora jest jasny, z nieprzeliczonego mnóstwa idei zawartych w Hamlecie utkany; czytałem go dotąd, aż mnie wreszcie autor utwierdził w dawnem przekonaniu, że szekspiromanja należy do obłędów nieuleczalnych. Ponieką szeregiem odkryć jest także *Paris und Frankreich in den Jahren 1834—1874* Karola Gutzków. Książka składa się ze szkiców, fragmentów i listów, które G. różnemi czasy do niemieckich dzienników pisywał. Są to więc rzeczy znane, z dodaniem uwag t. j. czegoś o latach ostatnich i z zastosowaną do obecnego niemieckiego gustu przyprawą przedmowy, w której autor rozpuścił kilka wonnych kropli dawnego, jak on mówi, przywiązania do swej ojczyzny. To bowiem co mówiono o „młodych Niemcach“, o ich karmieniu się francuską jałmużną, jest prawdą tylko w odniesieniu do Hejnego i Börnego, ale nigdy prawego patrjoty Gutzkowa. O ile to odkrycie na „własny dochód“ jest prawdą, nie wiem, nawet przeczytawszy uważnie według wskazań autora te miejsca, w których on potępia Francuzów. Bo gdzież pewność że te słowa nie były pisane po straconej łasce albo dla wyegzekwowania zaległej? Bądź co bądź jeśli niektóre ustępy książki zasłaniają Gutzkowa przed zarzutem niepatrjotyzmu, to za to nieszczęśliwie go rekomendują jako pisarza. Tak np. dla określenia plemiennego charakteru Francuzów rusza on następującym konceptem: „Nim jeszcze Europa ucywilizowała się, radzili sobie inaczej — szli na wojnę. Jako Normanowie plądrowali i rabowali wybrzeża aż do Sycylji i przyłączali się do wszelkich wojennych wypraw. Napoleon umiał dogodzić temu rozbójniczemu ich usposobieniu.“ Trzeba słowa te kilka razy odczytać, ażeby uwierzyć, że to mówi... Niemiec o — Francuzach! syn najdrapieżniejszego plemienia o słynnem z delikatności swych uczuć. Pominąwszy te i tym podobne szczegóły fragmentów Gutzkowa, pozostałe wizerunki dość bogatego i różnorodnego kalejdoskopu przejrzeć można z zajęciem. Autor bowiem powabnie kreśli obrazki wszelkich sfer — począwszy od teatralnych kulis z panną Dejazet aż do salonów Guizot'a i Thiers'a.

Dawno zamierzona i znacznemi siłami wsparta *Allgemeine deutsche Biografie* ukazała się pierwszym zeszytem (Leipzig 1875). Pierwszy zawiązek tej publikacji odnosi się aż do 1868, kiedy historyczna komisja przy królewskiej Akademji nauk w Monachjum na wniosek dwu swych członków: L. Ranke'go i Ig. Döllinger'a postanowiła wydać zbiór dokładnych życiorysów wszystkich zmarłych znakomitości niemieckich. Ramy zakreślono jak najobszerniejsze, gdyż objęto niemi wszystkie gałęzie działalności. Pracy tej podjął się zastęp znanych specjalistów, którzy przedstawiają wszelką gwarancję wartości dzieła. Pierwszą literę alfabetu posunięto do nazwiska Ahlefeldt.

W dziedzinie filozofji, pośród bezpłodnych i krótkotrwałych efemeryd po raz tysiączny wykładających prawdziwe znaczenie nauki Kanta, zaszczytnie wyróżniła się praca głośnego uczonego Kuno Fischera, której przedmiotem *Francis Bacon und seine Nachfolger* (Leipzig 1875). Jest to właściwie drugie wydanie, znacznie jednak pomnożone nietylko w obietnicy tytułu. Autor kreśli szczegółowo cały rozwój angielskiej filozofji eksperymentalnej od Bacona do Hume'go włącznie. Wykład jest przeważnie objektywny, w filozoficznych przeto studjach oddać może wielką usługę.

Chociaż z zeszłoroczną datą, teraz dopiero ukazała się w księgarniach książka, która zasługuje na naszą bliższą uwagę. Jest to mianowicie obszerny półurzędowy raport o szkolnictwie w Prusach, wydany przez Dr. L. Wiese p. t. *Das höhere Schulwesen in Preussen* (Berlin). Raport ten zawierający dokładne statystyczno-historyczne wykazy z ostatnich lat kilku, mieści również i dział dotyczący księstwa Poznańskiego, któremu nawet poświęcono więcej niż innym prowincjom komentarzy. *Qui s'excuse s'accuse.* Jakoż w istocie autor tych uniewinnień mimo wszelkich wysiłków nie mógł uniknąć skompromitowania swego rządu, któremu nawet nieraz naiwnością, jak ów niedźwiedź w bajce kamieniem muchy na nosie bije. Swoją Falkiadę opowiada on temi słowy: „Język polski jako wykładowy utrzymywał się w szkołach Poznańskiego i niektórych zakładach Prus na mocy instrukcji wydanej w r. 1842. Jednakże w instrukcji tej wyraźnie zostały zastrzeżone zmiany, jeśli doświadczenie wskaże stosowną dla nich porę. Po wielokrotnych spostrzeżeniach władza przyszła w ostatnich czasach do przekonania, że postanowienia instrukcji nie wystarczają do osiągnięcia tego językowego ukształcenia, któreby pozwoliło polskiej ludności w jej własnym i publicznym interesie przyjąć żywy udział w rozwoju niemieckiej cywilizacji. Dlatego to w obu prowincjach z początku równouprawniono oba języki, jednocześnie wszakże polecono, ażeby polskie wykłady *allmählich eingezogen und mit den deutschen verschmolzen würden.*“ To *Verschmelzung* tak szybko na pociechę pana Falka postępowało, że w r. 1873 tytułem łaski pozwolono, iż przy egzaminach dojrzałości mogą być odrabiane ćwiczenia polskie jako dostateczna kompensata za... angielskie! Nie tu koniec naiwności wychowanego pod pruską dyscypliną wajdeloty. Z najpoczciwszą bowiem miną opowiada wreszcie takie zdarzenie: Według instrukcji z 1842 roku, religji słuchał każdy uczeń w języku ojczystym. Zwykle tak się rzeczy układały, że większość uczniów polaków była katolickiego wyznania, dla Niemców więc urządzono dodatkowe lekcje tej religji. To dało powód „do uzasadnionych skarg na upośledzenie niemieckich uczniów.“ Nam nie biorącym „żywego udziału w niemieckiej cywilizacji“ zdawałoby się że skoro w szkołach poznańskich byli przeważnie Polacy, religję katolicką należało wykładać po polsku. Takie jednak rozumowanie wydało się całkowicie bezsensownem logice pana Falka, gdyż ułożono i usankcjonowano następujący godzien nieśmiertelności sylogizm: prawa powinne stosować się do większości, ponieważ zaś w gimnazjach poznańskich większość jest polską, zatem wykłady powinne się odbywać w języku—niemieckim.

Od nikczemnej pamięci tej chwili, w której ukoronowany sołdat słusznie wywnioskował, że ponieważ u sąsiada nieład, można i trzeba go zrabować; od tej mówię chwili szczególniej logika Niemców względem nas przeszła wszystkie stopnie cynicznego bezwstydu. Idjotyczna argumentacja p. Wiese dla usprawiedliwienia szkolnych reform jest jeszcze ideałem logicznym w porównaniu z wywodami tej giełdy oszustów, która się niemiecką prasą zowie. Muszę bowiem zanotować, że tutejsze dziennikarstwo bardzo gorliwie zajmuje się Rossją i Polską, niepokojone groźnem widmem związku pomiędzy temi dwoma narodami przeciwko Niemcom którego myśl ciągle mu „Dziennik Poznański“ nasuwa. Z tej racji, bez żadnych innych powodów, niemieckie pismaki liżąc się Rossji ciągle ujadają przeciwko nam. Tak np. koresp. „Gaz. Krzyż.“ donosi jej z Warszawy takie niegodności i kłamstwa o stosunku tamtejszego Jeneral-Gubernatora do polskiego zaludnienia: „Z początku gdy jener. v. Kotzebue objął swój trudny urząd, uścisnął on rękę niejednemu Polakowi serdecznie i pojednawczo. Ale gdy im (Polakom) zaraz znowu rogi urosły (*der Kamm schwoll*) i gdy im się zdawało, że z nowego gubernatora będą mogli robić sobie zabawkę à la Wielopolski(!) lub Lambert, wkrótce spostrzegli, że się grubo pomylili...“ Dalej tenże korespondent dodaje, że rossyjscy oficerowie i urzędnicy dawniej wciskali się do rodzin polskich i dla tego ich nie puszczano, dziś zmądrzeli, trzymają się z daleka i dla tego *Alles macht sich von selbst!* Trudno policzyć ile w tym krótkim raporcie mieści się kłamstw. Jenerał bowiem Kotzebue jest naprzód dlatego lepszym, że ludność polska w Królestwie względem swych naczelników przestała już używać przymiotnika gorszy, gdyż dla niej stopniowanie w tym kierunku już się skończyło: powtóre Kotzebue o tyle na jakąś sympatję zasługuje, że dotąd sam przez się nie popełnił żadnego okrucieństwa a wprowadził kilka pożytecznych ulepszeń i jeśli prawda, że ma uregulować wiejskie służebności, kraj będzie mu winien uwolnienie od najstraszniejszej może klęski. Co się zaś tyczy jego „uścisków“ a nadewszystko niby zbudzonej na nowo polskiej buty, żeby coś podobnego głosić, trzeba albo nie być w Polsce albo urodzić się z talentem niemieckiego donosiciela. Tyleż wart koncept o połączeniu się towarzystw polskich z rossyjskiemi, o czem (wyjąwszy arystokracje i sołdackie na Rybakach podboje) nikt dotąd nie słyszał i słyszeć długo nie będzie. Niemiecki jednak wyżeł który wie jak trawa rośnie, wytropił zawiązki polskich sympatji, co więcej! nie zaniedbał nam przy tej sposobności dać moralnej nauki. Ta ostatnia jest charakterystycznym wyrazem niemieckiej względem nas bezczelności. Bo rozumiem człowieka który powiada: świat jest kombinacją sił mechanicznych, zwycięztwo więc jednej nad drugą jest rezultatem fizycznego prawa, które się o słuszność nie pyta. Rozumiem nawet rozbójnika, który kradnie i morduje i ma odwagę nazwać swe czyny po imieniu. Ale nigdy nie mogą pojąć owego rabusia na ambonie, wykładającego moralność tym których odarł. Gdyby prasa niemiecka mówiąc o nas, trzymała się logiki praw mocniejszego byłaby tylko barbarzyńską, ponieważ zaś przytem nas obwinia — jest nikczemną. A zatem przedajny tłumie pismaków, psiarnio karmiona gadzinowym funduszem, pogardo całego świata, żywiole opluty przez wszystkie czyste sumienia, praso niemiecka, nie ucz nas uczciwości, przeciwnie, dowiedz się od nas że wielcy myśliciele twego narodu, że Kanty i Hezle wywłaszczanie narodów z ich praw i własności nazywali — zbrodnią! Ale ty o tem nie wiesz, uczciwych nauk swych własnych mistrzów nie znasz, ty nauczona regulować swe sumienie ze wskazówkami polityczno-szachrajskiego zegaru umiesz być tak niegodziwą, iż dziś oburzasz się na Francuzów że zdobyli twych braci nad Renem a jutro wymyślać będziesz na Polaków za to, że protestują przeciwko zaborowi dokonanemu przez twych braci. Żyj tak dalej w tej hańbie, tem wyraźniej na jej tle odbijać się będzie nasza krzywda!

Ale....

O POPRAWIE
społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfera.

(Ciąg dalszy).

Jak nieodzowną jest potrzeba roztoczenia lepszej opieki nad kobietą, i jak głęboko jest ona poczutą, okazuje się z tego, że właśnie w krajach gdzie wykształcenie ekonomiczne i społeczne wiadomości najbardziej postąpiły, jak Anglja, Szkocja i Zjednoczone Stany Ameryki północnej, nader gorąco i szczerze zajęto się teraz kwestją pracy kobiet. Niemcy także już idą tą drogą chociaż jeszcze z wielkiem niedowierzaniem. Ale co powiedzieć o nas? Jeżeli zachód dotąd się obawia, aby szerszy zakres działania kobiety nie zatrząsł podwaliną rodziny i nie doprowadził do moralnego bankructwa, o ile więcej mamy my przesądów do zwalczenia! Byłoby to wielką zarozumiałością z naszej strony, gdybyśmy chcieli dowodzić, że nasze kobiety klas średnich są moralniejsze od angielskich, dla tego, że tam występują na szerszą widownię. Czyżby nasza rodzina nie mogła wytrzymać próby i znieść to, co w Anglji okazało się nieszkodliwem? Obawy te płonne znikły już na całym Zachodzie; zresztą i my zaczynamy powoli liczyć się z wymaganiami czasu. Mamy przecież we Lwowie „Stowarzyszenie pracy kobiet“ Panie, za których inicjatywą powstała ta zbawienna instytucja, są pjonierkami wielkich i szlachetnych

idei ludzkości. W jesieni w roku 1865 podniósł Dr. Lette po raz pierwszy w centralnem towarzystwie ku podniesieniu klas pracujących w Berlinie, myśl założenia „towarzystwa pracy kobiet“, a za jego przykładem poszły: Wiedeń, Hamburg, Wrocław, Brema, Lipsk, Hanower i inne miasta. Jak daleko te usiłowania sięgnąć mogą po za granice zwyczajem uświęconych tradycyj, to na razie nie da się ani określić, a tem mniej w krótkiej rozprawie wyczerpać. Przedewszystkiem jednakże podnieść należy następujący cel, jako pożądany do osiągnięcia: Wyuczenie kobiet wszelkich delikatniejszych wyrobów sztucznych, przyswojenie kupieckiej rachunkowości, potrzebnej do prowadzenia ksiąg i dokładniejszego wyuczenia gospodarstwa wiejskiego. Dalej żądają przypuszczenia kobiet do praktyki lekarskiej, jak to się już stało w Ameryce, gdzie na podstawie ustawy państwa nowojorskiego z roku 1863, urządzono osobne zakłady naukowe dla kobiet, z których kilka już wyszło lekarek, niepośledniej zdolności. Nakoniec wypadałoby ułatwiać im osiąganie niektórych posad rządowych, któreby odpowiadały indiwidualnemu usposobieniu kobiety. Takiemi są służba pocztowa i telegraficzna. We Lwowie urzęduje już kilka kobiet w biórach pocztowych, a do tej chwili nikt się na nie nie uskarżał.

Co do przypuszczenia kobiety do praktyki lekarskiej powstaćby mogły zarzuty jedynie ze względu na uczucie estetyczne. Wielu angielskich i amerykańskich lekarzy przekonało się dokładnie, że kobiety przy odpowiedniej nauce z łatwością osiągają średnie wykształcenie naszych medyków, a gdyby na niektórych specjalnych polach wykonywać mogły praktykę, najprawdopodobniej wzniosłyby się nad poziom mierności. W zasadzie nie wiem nawet, coby przeciwko temu mieć mogła sama płeć piękna, gdyż wiadomą jest rzeczą, że we wszystkich wojnach nowożytnych, służbę lazaretową i pielęgnowanie rannych poruczono siostrom miłosierdzia.

Zresztą samo doświadczenie może tu jedynie rozstrzygać! Nie podobna się w tej mierze kierować ani wstrętem ani względami estetycznej natury. Państwo nie ma najmniejszej pobudki moralnej, któraby mu nakazywała nie dopuszczać kobiety do praktyki lekarskiej; może ono tylko postawić warunek, aby kobieta wykazała się odpowiedniemi zdolnościami i wprawą potrzebną do umiejętnego traktowania obranego zawodu.

Zadaniem jest stowarzyszeń pracy kobiet tak długo działać na zewnątrz swym wpływem i dostarczaniem roboty wstydliwej dziewczynie, dopóki się ona nie pozbędzie swej fałszywej i niczem nieusprawiedliwionej dumy, i nie zacznie upatrywać w pracy raczej uszlachetniających pierwiastków, jak czynności która wstyd przynosi. Skoro w naszem społeczeństwie kobieta raz zrozumie, że praca za domem dla rodziny lub siebie jest chlubą, i gdy przesąd małomiejskiego pojmowania stanów upadnie, pod wpływem światłej samowiedzy, wtedy przemówi sama za sobą. Popatrzmy na Zachód, jak tam w tym duchu działają „Stowarzyszenia pracy kobiet“; mianowicie Anglja przedstawia nam obraz bardzo wielu ze zrozumieniem własnego interesu podjętych usiłowań. Niektóre większe miasta niemieckie posiadają „szkoły handlowe“ dla kobiet, z których korzystać mogą nietylko te panie, co muszą zarabiać na swoje utrzymanie, ale także przyszłe żony kupców, które kiedyś pragną swych mężów skutecznie zastąpić w interesach lub wspólnie z nimi pracować w jednym zawodzie. Cóżby dał nie jeden z naszych kupców, gdyby jego żona mogła zastąpić mu drogo opłacanego a przytem o własny interes więcej dbającego rachmistrza lub pomocnika w handlu? „Radykalną poprawę istniejących stosunków spowodować może tylko organiczna siła rodziny, przez to, że się w niej zupełnie poprawi system wychowania kobiet“. Klasy średnie, a przeważnie więcej wykształcone a mniej zamożne, powinne przedewszystkiem zająć się przyszłością niezamężnych dziewcząt, a nie jak dotychczas czyniono, uważać niewyjście za mąż za nieszczęście równające się wypadkowi na kolejach żelaznych, lub innej nieprzewidzianej klęsce elementarnej.

Wychowanie obok wpajania zamiłowania do rzeczy domowych i przygotowania kobiety do przyszłego jej stanowiska jako żony i matki, nie powinno także spuszczać z oka jej samodzielności w społeczeństwie.

Dla mężczyzn mamy gimnazja i szkoły realne, politechniczne instytuta, wszechnice, akademje rolnicze i setki innych zakładów, w których staramy się podać im wykształcenie gruntowne i fachowe, a dla dziewcząt nie mamy żadnych specjalnych zakładów wychowawczych. Kilka nowych przedmiotów spostrzegamy wprawdzie tu owdzie w programach naukowych zakładów prywatnych, ale szkoła dopiero je zamierza w życie wprowadzić. Metoda nauczania uległa już znacznej zmianie i jest na drodze wielu ulepszeń. Jednakowoż możemy z całą pewnością utrzymywać, że od pięćdziesięciu lat „stanowczej zmiany“ pod względem systemu wychowania kobiet nie zauważaliśmy nigdzie w Europie. Przewodnią myślą w wychowaniu kobiet jest to, że dziewczynie trzeba przedewszystkiem dać nieco powierzchownej ogłady, aby umiała się znaleźć w dystyngowanych towarzystwach i układną powierzchownością potrafiła znęcić mężczyznę. Po osiągnięciu tego celu, rodzice są zupełnie zadowoleni. Jedną z bardzo szkodliwych dla przyszłego losu kobiety okolicznością, jest to, że w klasach wyższych, liczących się do najbardziej wykształconych, dziewczynka w 16 lub 17 roku życia ukończyła już edukację i staje w szeregu panien „na wydaniu“. Jeżeli czasami się zdarzy, że w tych latach jeszcze się czegoś panienka „na wydaniu“ uczy, to są to najpewniej ćwiczenia w najulubieńszych przedmiotach, lecz nie chodzi tu wcale o dokładne przetrawienie, że tak powiemy, zdobytych przez tyle lat wiadomości. Nauka sama odbywa się bez planu wybitnego, szybko i niedostatecznie. Lata, pomiędzy wyjściem dziewczęcia ze szkoły, a surowem i poważnem jej powołaniem, jako przyszłej gospodyni domu, giną bezkorzystnie dla celów wyższych i doniosłych zadań życia.

Ojcowie i matki sądzą jeszcze dzisiaj, że lekkie i powierzchowne wychowanie, przytem pewna dozis lekkomyślności podobają się najbardziej przyszłym małżonkom. Utrzymują upornie, że mąż ją przerobi według woli swojej; „młode to bowiem jeszcze i miękkie jak wosk, da się nagiąć i z łatwością kierować;“ tak rezonują mamy. Lecz czy doświadczenie nie uczy, że prawie zawsze błądzą? Tradycja rodzinna przyprowadziła do tego, że dziewczyna uważa „wydanie się za mąż“ za osiągnięcie „stanowiska“ w świecie i „uwolnienie“ się z pod opieki rodzicielskiej. Są to największe braki i niezrozumienie najistotniejszych potrzeb życia małżeńskiego. Do najfatalniejszych przesądów i zastarzałych błędów naszego stulecia należy także przekonanie, jakoby wyższe wykształcenie przeszkadzało kobiecie w pełnieniu jej obowiązków domowych, tłumiąc tkliwość jej serca i łagodność umysłu.

Z tego cośmy powiedzieli, widać, że poprawienie losu kobiet pracujących ze stanu średniego, wobec napiętrzonych olbrzymich przeszkód postępować może tylko nadzwyczaj zwolna. Postęp na tej drodze zawisł jedynie od dokładnego zrozumienia zmian, jakie się koniecznie wyłonić muszą ze stosunku rodziny do życia publicznego, a przedewszystkiem ekonomicznego.

(D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Wykład systematyczny Tagmonlogii, czyli dotychczas tak zwanej „filozofii“. Część przygotowawcza. Wstęp do tagmonlogji napisał Dr. A. Z. Molicki. Kraków — 1875.

Do książki powyższej, o której już pisaliśmy na tem miejscu, jeszcze raz wracamy. W słowie od autora czytamy: „Rozpoczynając nasz wykład, rozumiemy całą ważność systematyczności; dlatego też rozpoczynamy go ogólnemi wiadomościami o istocie i różnych stosunkach naszej umiejętności, czyli inaczej mówiąc wstępem. Wykład jego tem konieczniejszem staje się dla nas, że już jak sam tytuł z odmienną nomenklaturą wykazuje, stanowisko nasze jest zupełnie innem, jak dotychczasowe filozofji.“ We właściwym wstępie do Tagmonlogji, czyli do filozofji, tłumaczy się autor, dlaczego filozofję nazwał tagmonlogją, potem daje historyczny pogląd na podział filozofji od Platona aż do Becka, tudzież u naszych uczonych, jak Narbutt, Jaroński, Wigura... (podział na teoret. i prakt.) i Ochorowicz (pozytywista). Krytykuje ten podział i zwie go fałszywym. Mówi o podziale Kanta a priori et a posteriori, czyli o filozofji czystej i doświadczalnej, za którym poszli niektórzy nasi filozofowie, mając w Janie Śniadeckim przeciwnika. Potem schodzi na podział filozofji u Comta — (fil. abstrakcyjna i konkretna), przyczem daje bardzo słuszną nauczkę Panu Ziembie że pisząc rozprawę: „O pozytywiznie i jego wyznawcach w dzisiejszej Francji“ nie cytował Littrego, którego prawie przetłumaczył. Dalej mówi autor o podziale filozofji u Hegla, Kremera, Trentowskiego, Ueberwega i Struwego, zwolennika najnowszej szkoły filozof. idealno-realnej, krytykuje wszystkich a na ostatek daje swój podział tagmonlogji uzasadniając go samodzielnie. Podział ten obejmuje: 1º Propedeutykę 2º część fundamentalną 3º część szczegółową (Natura, Człowiek, Bóg). Zaczynając od propedeutyki daje pogląd na propedeutykę czasów greckich a potem zaraz schodzi na Calkersa, Hillebranda i Hegla, Herbarta, Drbala, Zimermana i Lichtenfelsa, Trendelenburga i Rosenkranza. Nareszcie wydaje swoje zdanie o propedeutyce (str. 41 42). Potem następuje wstęp do Tagmonlogji. Przechodząc historycznie znaczenie takiego wstępu podaje go krytyce uważając pojęcie wstępu jeszcze za nieustalone. Dając treść wstępów u różnych pisarzy, a więc i Hegla do tegoż Encyklopedji i Fenomenologji staje się autor zrozumiałym tylko dla tych, którzy już dobrze z filozofją są obeznani; zatem dla początkujących jest prawie nieprzystępnym. P. A. Malicki wykłada dalej wstęp Lindnera, opierającego się na Kancie i Herbarcie, tudzież Hoffmana, rozwijającego swe poglądy na tle: „filozoficzno-chrześcijańskiem“, podobnie jak nasz Szaniawski, nad którym piszący dłużej się zastanawia i nawet całe ustępy z jego dzieła: „Rady przyjacielskie“ przytacza. Wstęp swój kończy autor krótkiem przytoczeniem pojęć wstępnych Dra Struwego, opierających się na stanowisku ogólno-krytycznem i przystępuje do wykładu propedeutyki swojej tagmonlogji w trzech rozdziałach: I Tagmonlogja sama w sobie, czyli istota Tagmontologji; II Tagmontologja w stosunku do rozwoju umysłowego, czyli tagmontologja i oświata; III Tagmontologja do rzeczywistego naszego bytu, czyli tagmonlogja i życie praktyczne. Rozdział I ma 4 poddziały. W pierwszym tym zeszycie doszedł utor do szkoły Pytagorasa. O wartości tej pracy w ogólności a wszczególności, czy stanowisko autora bę-

dzie zupełnie innem, jak dotychczasowej filozofji orzekać już po tym zeszycie byłoby przedwczesnem; referent jednak może już objawić swe zdanie, że młody nasz pracownik posiada ogromną i bardzo poważną erudycję, przytem styl jędrny, często nawet wytworny i prawdziwie filozoficzny. Po tym materjale spodziewamy się bardzo wiele.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Uroczyste wręczenie książki zbiorowej „Sobótka" jubilatowi, Sewerynowi Goszczyńskiemu, który w bieżącym roku święci piędziesiątą rocznicę zawodu pisarskiego, nastąpiło minionej niedzieli, d. 7. marca w sali ratuszowej. Na skromny bankiet zebrało się stokilkadziesiąt osób. Przemawiali: Kornel Ujejski, Mieczysław Darowski, Fr. Bałutowski, Wł. Zawadzki i Tadeusz Romanowicz, a panowie Grudziński, Ordon, Bełza i Epstein wygłosili przy toastach piękne wiersze. Wiersz naszego kolegi. p. Ordona, umieszczamy we właściwem miejscu. Nie opisujemy szczegółowo uroczystości, ponieważ dzienniki codzienne miały nas czas wyprzedzić. Nie chąc zatem powtarzać rzeczy powszechnie znanych, zakończymy uwagą, że arystokracja lwowska, usuwając się od tej skromnej uroczystości narodowej, postąpiła sobie bez taktu. Prócz dwóch czy trzech z jej grona, których wszędzie widzieć można, gdzie naród się gromadzi, i którzy poczuwają się z nim do solidarności — reszta uznała za stosowne całkiem się usunąć. Dla czego? Chyba oni jedni mogliby na to odpowiedzieć. My nie rozumiemy takiej polityki. W każdym razie jest ona objawem źle zrozumianego interesu własnego...

— Prezesem galicyjskiego Towarzystwa muzycznego został tego roku wybrany p. Wincenty. Danek, a jego zastępcą Dr. W. Zbyszewski. — We Lwowie ma wejść w życie trzecie z rzędu Towarzystwo zaliczkowe, tak zwane „mieszczańskie." — Kołomyjskie stowarzyszenie pszczelniczo-sadowniczo-jedwabnicze wraz ze swemi filjami we Lwowie i Olejowie, ma razem z lwowskiem Tow. ogrodniczo-sadowniczem utworzyć we Lwowie zarząd centralny, i na miesiąc wrzesień rb. przygotować wspólną wystawę.

— Budowa teatru w Poznaniu posuwa się ku końcowi. Dziś, prócz jeszcze tylko niektórych drobnych rzeczy, mianowicie obić, krzeseł w lożach, gdzieniegdzie pokostowań itd. wszystko ukończone. Zewnątrz gmachu także nie wiele pozostało do wykończenia, a i to byłoby już ukończone, gdyby nie ostre mrozy, które w tym czasie chwyciły. Tak więc teatr będzie mógł być nie długo otwartym i rzeczywiście, jak się dowiadujemy, otwarcie jego ma nastąpić w przyszłym miesiącu, prawdopodobnie około 15. kwietnia, co bliżej przez ogłoszenia ma być podanem do wiadomości publicznej. Na otwarcie danem zostanie przedstawienie amatorskie na rzecz budowy teatru; grać mają komedję J. Korzeniowskiego: „Wąsy i peruka". Poprzedzi prolog, umyślnie na uroczystość tę napisany. Za przedstawieniem tem, jak słyszymy pójdzie cały szereg przedstawień amatorskich. W maju zaś zjedzie zapewne jakie towarzystwo dramatyczne i grać będzie całe dwa miesiące.

Literatura i sztuka.

— „Sobótka" książka zbiorowa wydana dla Seweryna Goszczyńskiego na uczczenie jego piędziesięcioletniej działalności literackiej, obejmuje 40 arkuszy druku, na których pomieściło się bardzo wiele prac naszych starszych i młodszych autorów. Piękne to dziełko rozejdzie się prawdopodobnie bardzo prędko, zwłaszcza że nakład jest stosunkowo mały. Po opłaceniu kosztów druku, zostało z przedpłaty 400 guldenów, które z kwotą, jaka się zbierze za resztę egzemplarzy, będą przeznaczone na fundusz stypendyjny. W jednym z następnych numerów napiszemy obszerniej o „Sobótce".

— Właśnie wyszło nowe dzieło pani Georges Sand, pt. „Autour de la Table" w którem znajdują się ciekawe i dotąd nieznane szczegóły o Adamie Mickiewiczu. W ciągu ostatnich miesięcy przybyła nam zatem z kolei trzecia praca o największym naszym wieszczu. Pierwszą były listy T. Lenartowicza o Adamie, drugą wiadomości podane o powstaniu „Tadeusza" przez Bohdana Zaleskiego, a trzecią jest dziełko pani Sand. Dla bjografa, na którego Mickiewicz oddawna czeka, jest to materjał nader cenny.

— „Wandę" operę Fran. Döpplera przedstawiano dnia 2. lutego w Würzburgu z wielkiem powodzeniem.

— Na licytacji przedmiotów sztuki i zabytków starożytnych ze zbiorów p. Séchan, dekoratora wielkiej Opery w Paryżu, zapłacił baron Adolf Rotszyld za pistolet ogromną sumę 50.000 franków. Pistolet ten, ze starym mechanizmem kołowym, jest przepysznym wyrobem weneckim z epoki rozkwitu renaissansu. P. Séchan kupił go przed 20 laty za 250 fr. w Konstantynopolu, gdzie zajmował się dekoracją pałacu sułtańskiego. Cena wywołania oznaczona na 15.000 fr. Reprezentant wielkiego amerykańskiego muzeum, podpędził cenę aż do 49.000 fr. ale cofnął się, gdy pełnomocnik bar. Rotszylda postąpił na 50.000 fr.

— W tych dniach pojawiła się w Paryżu książeczka, którą cała prasa francuska przyjęła okrzykiem uwielbienia i zapału. Są to poezje Pawła Déroulède, zatytułowane „Nouveaux Chants du soldat" poświęcone przez poetę matce swojej — a całe przesiąknięte duchem najgoretszego patrjotyzmu, który w niczem nie czyni ujmy artystycznym zaletom ich formy i obrobienia. Akademja francuska uwieńczyła tę książeczkę. Najpiękniejszą jej częścią jest dedykacja matce, i natchniony prawdziwie dytyramb „Sur la Jeanne d'Arc de Fremiet" Jules Claretie pisząc o tym młodym poecie w „L'Illustration", powiada: Paweł Deroulède będzie tem dla naszej zwyciężonej ojczyzny, czem Arndt i Koerner dla Niemiec; głosem który protestuje, dodaje odwagi i w najwyższych nawet uniesieniach rozpaczy umie rzucić słowo nadziei. Będzie to Koerner ale Koerner francuski, to znaczy talent mający potęgę tego Germanina, bez jego nienawiści okrutnej; talent wspaniałomyślny, sympatyczny, pociągający i serdeczny tam nawet, gdzie grozi".

— W Paryżu odbędzie się w ciągu br. wystawa wszystkich arcydzieł sztuki, które znajdują się rozsypane po rozmaitych muzeach prowincjonalnych.

— Olejne obrazy malarza Obermüllnera, wykonane podług szkiców Juljusza Payera a przedstawiające główne momenta austrjacko-węgierskiej wyprawy podbiegunowej, oraz zarysy krają Franciszka Józefa, wyjdą wkrótce w fotograficznych reprodukcjach u Fr. Bruckmanna w Berlinie.

Podróże, odkrycia i wynalazki.

— Od znanego podróżnika po Afryce, Henryka Stanley'a nadeszły znowu listy do londyńskiego „Daily Telegraph" datowane 13. Grudnia z dystryktu Mpwapwa w kraju Usagara. Wedle tych listów, Stanley, przeniosłszy w okolicy zwanej Bagamoye ciężkie przykrości od towarzyszącego mu orszaku Negrów, wydobył się ztamtąd i przebył wielką drogę do Mpwapwa w 25 dniach. Pierwszy raz, w czasie gdy poszukiwał Livingstone'a, potrzebował Stanley do przebycia tejże samej przestrzeni 51 dni, a porucznik Cameron — wprawdzie dotknięty wieloma przygodami — cztery miesiące na nią stracił. Stan zdrowia wyprawy Stanleya nie przedstawia nic do życzenia — pomimo straszliwych skwarów, które dręczyły podróżników na równinach Kindschani. Szczególniejsze przysługi oddaje Stanleyowi rozbierany i przenośny okręt, zbudowany wedle jego własnych wskazówek — a o którym w swoim czasie na tem miejscu wspominaliśmy. Okręcikiem tym przebył Stanley z łatwością rzekę Kindschani.

— W londyńskiem towarzystwie geograficznem miał admirał Richards odczyt o nowej angielskiej wyprawie podbiegunowej. Składać się ona będzie z dwóch silnej konstrukcji okrętów; z których każdy załogę 60 ludzi, włącznie z oficerami, i żywność na trzy lata mieścić w sobie będzie. Wyprawa ta wypłynie w Maju lub Czerwcu bieżącego roku i po rocznych badaniach a poszkiwaniach wspólnych, lub oddzielnie przez każdy okręt przedsięwziętych — zajmie zimowe kwatery. Marszrutę wytknięto jej następującą; Droga Dawis'a, Zatoka Baffina i cieśnina Smith'a.

— Podróżnik australski Ernest Giles rozpoczął nową wędrówkę w celu wzbogacenia dotychczasowych odkryć w tej części świata. 1. Grudnia opuścił Adelajdę i skierował się naprzód ku Port Lincoln, zkąd następnie zapędzi się aż do wielkiej australskiej zatoki i w okolice bliskie portu Encla. Ztąd zaś zwróci się ku północy w celu zbadania tamtejszych nieznanych okolic i dojdzie aż do gór Musgrave i Tomkinson, za któremi mają się znajdować obszerne pastwiska. Tę całą drogę obiecuje Giles ukończyć w przeciągu trzech miesięcy, poczem drugi podróżnik John Ross, wyśle mu z Beltany pewną ilość wielbłądów, potrzebnej żywności zapasy, tak ażeby przy pomocy tych środków Giles mógł pokusić się na nowo o przedarcie się drogą pomiędzy 28 i 31 stopniem szerokości do zachodnio australskiego wybrzeża.

— W Heybrydge, w bliskości Maldonu, w hrabstwie Essex zaszedł wypadek bardzo interesujący dla archeologów. Członek parlamentu i towarzystwa archeologicznego w Essex, p. Bentall odkrył w tej okolicy sześć kamiennych i bardzo wiele metalowych trumien, o raz mnóstwo mających antykwarską wartość szczątków.

— Inżynier angielski Wilde wynalazł nowy sposób przyrządzania światła elektrycznego, które zapalone w nocy na okręcie, oświeca jasno przestrzeń w promieniu wynoszącym 2,800 kroków. Wynalazek ten znajdzie zastosowanie mianowicie w marynarce wojennej, gdyż dozwoli okrętom wojennym dojrzeć zbliżenie się każdego nieprzyjacielskiego statku torpedowego.

— Francuz de la Bastie wynalazł szkło, wytrzymujące silne uderzenie. Niemieckie stowarzyszenie hut szklannych chciało od niego nabyć ten wynalazek, ale Francuz żądał za wiele. Tymczasęm zgłosił się inżynier Pieper z Drezna, który wynalazł także szkło twarde, zwane „wulkanicznem" i wynalazek swój odstąpił Towarzystwu za 150.000 guldenów. Próby z jego szkłem odbędą się za kilka tygodni. Równocześnie T. Lubisch i J. Riederer wynaleźli trzeci gatunek szkła „metalowy" i robili już doświadczenia w hucie szklannej hr. Solmsa w pobliżu Bolesławia na Szląsku. Podczas gdy kulka ołowiana, ważąca 40 gramów, rozbija zwyczajną szybę szklanną spuszczona z wysokości pół metra, ta sama kulka z wysokości pięciu metrów spuszczona, odskakuje od szyby „metalowej". Szkiełkiem od zegarka można rzucać jak piłką aż do sufitu. Zwyczajna szyba rozegrzana pęka, gdy ją wodą zlejemy, ze szkła zaś metalowego wytrzymuje największe oziębienie. Jest więc nadzieja, że wkrótce będziemy mieli trwalsze szyby u okien.

Gospodarstwo i handel.

— Polacy zamieszkali w Ameryce, krzątają się około utworzenia na wielkiej wystawie w Filadelfji osobnego „oddziału polskiego".

— Konferencja mennicza odbywająca się w Paryżu ukończyła 7. bm. prace swoje podpisaniem umowy pomiędzy Francją, Belgją, Włochami i Szwajcarją — na podstawie której prawo bicia srebrnych pięciofrankówek podwyższonem zostało dla Francji do ilości 75 miljonów, dla Włoch do 50, dla Belgji do 15 a dla Szwajcarji do 10 miljonów fr.

— W c. k. głównym urzędzie menniczym w Wiedniu wybito w roku 1874—5, 446,872 sztuk monety, przedstawiających ogólną sumę 10,181842, złr. 93 cnt.

— Ponieważ zbiory w Nowej Zelandji poniosły niezmierne szkody od owadów, miejscowi koloniści postanowili przyzwać na pomoc ptactwo europejskie karmiące się owadami. Wypłynął tedy obecnie z portu londyńskiego okręt „Tintern Abbey"; wioząc na pokładzie swoim więcej niż dwieście klatek szczygłów, gilów, wron, kuropatw itd. itd. Ptactwo to za przybyciem puszczonem zostanie na wolność i żyć będzie w zupełnej szczęśliwości, bo wśród obfitego pokarmu i pod protekcją praw.

— Admirał du Quilio przysłał ogrodowi Aklimatyzacyjnemu w Paryżu szczególną odmianę bambusu japońskiego, któremu z wdzięczności dla dawcy nadano nazwisko „Bambusa Quilio." Bambus ten niezmiernie łatwo się zaaklimatyzował, tak samo jak dwa inne gatunki, pochodzące od p. Simona, konsula francuskiego w Chinach, które hodowane na południu w Nimes, odpowiedziały wszelkim oczekiwaniom, okazały się bowiem nadzwyczaj przydatnemi do wyrabiania lekkich sprzęcików fantazyjnych, a także krzeseł, stołów, taboretów, itd. Okrom tego bambusy te stały się dla Francji ważnym przedmiotem handlu wywozowego z Anglją.

ROZMAITOŚCI.

— Około roku pańskiego 1683, Wiliam Phipps, Amerykanin rodem, zamieszkały w Bostonie i zajmujący się tam budowaniem okrętów, wynalazł przyrząd do zanurzania się w wodę. Z tym wynalazkiem udał się do Anglji, ażeby od króla Karola II pozyskać pomoc do wykonania wielkiego przedsięwzięcia, które podjąć zamierzył. Wiadomo było Phippsowi, że niedawno temu w pewnem miejscu przy wybrzeżu St. Domingo zatonął wielki hiszpański okręt naładowany srebrem; — projektował tedy wydobycie tego olbrzymiego skarbu z dna morskiego. Karol II przychylił się do projektu zuchwałego wynalazcy, dał mu do rozporządzenia okręt i udzielił potrzebnej pomocy pieniężnej do urządzenia wyprawy. Phipps tak poparty wypłynął z Anglji, stanął u wybrzeży St. Domingo i rozpoczął niebezpieczną pracę swoją. Liczne próby jednak nie doprowadziły go do niczego. Nie mógł odnaleźć zatopionego okrętu i gdy wreszcie pieniądze, które posiadał, rozeszły się, musiał z próżnemi rękoma do Anglji powracać. Tam przepędził lat kilka w ukryciu i głębokiej nędzy. Nie zraziło go to jednak, ani odjęło mu wiary w istnienie powyższego skarbu i możność wydobycia go z głębin. Zaledwo Jakób II zajął tron Anglji po ojcu swoim, Phipps przypuścił do niego nowy atak, oblegając go prośbami o okręt i powtórną zapomogę. Król jednak nie chciał się wdać w tę sprawę: radzcy jego bowiem i on sam za niedorzeczność ją uważali. Uparty Amerykanin i tu jeszcze rąk nie opuścił. Próbował na wszystkie strony i wreszcie udało mu się przedsięwzięcie swoje oprzeć na akcjach i pozyskać dlań protekcję księcia Albe-marle, który wziął znaczną ilość akcyj. Z temi nowemi zasobami podążył Phipps w roku 1687 do wybrzeży Hayti i na ten raz ziścił swoje obietnice. Przy pomocy swego przyrządu wydobył tak wiele złota i srebra z zagrzebanych w mule morskim, napół zgniłych szczątków okrętu, że ogólna wartość tego skarbu przeniosła 300,000 funt. szterl. Z tej olbrzymiej sumy szczęśliwy nurek otrzymał 20000 funt., — książe Albemarle, jako główny akcjonarjusz 90000 funt., resztę zaś wzięli inni uczestnicy przedsięwzięcia. Znaleźli się jednak i w tym razie niegodziwi ludzie. Byli nimi niektórzy radzcy królewscy. Zaraz po powrocie Phippsa przedstawili królowi, że należałoby teraz zażądać od niego zwrotu kosztów owej pierwszej niefortunnej próby. Ale król był nadto wspaniałomyślnym, aby posłuchać tych przedstawień. Owszem, nietylko oświadczył, że Phipps jest uczciwym człowiekiem i ma prawo do pozyskanych pieniędzy, ale nawet w dowód swego uznania na rycerza go pasował. Księciu Albemarle tak łatwa a ogromna korzyść zupełnie głowę zawróciła. Wyprosił sobie u króla zarząd Jamajki, ażeby mieć wszelką łatwość do poszukiwania na indyjskich wodach innych zatonionych hiszpańskich okrętów. Wszystkie jednak usiłowania jego i Phippsa poszły na marne. Napróżno przeszukali fale Antylskiego morza i wyrzucili przytem moc wielką pieniędzy. Szczęśliwiej udało im się przy wyspie Mull na wybrzeżach Szkocji, kędy niegdyś jeden statek hiszpańskiej Armady poszedł na dno. Wydobyli zeń złote łańcuchy i inne drogocenne rzeczy; wartość ich jednak zaledwo koszta wyprawy pokryła. Szczęście Phippsa zbudziło wielu naśladowców. Wynajdowano coraz nowe przyrządy i narażano bezustanku, ale nieszczęśliwie. Dopiero w 1716 Edmund Halley zbudował pierwszy istotnie praktyczny przyrząd do poszukiwań na dnie morskiem — zwany dzwonem nurkowym. Cóż z tego? Przyrząd jest, a skarbów zabrakło!...

— ~~Luitprand~~ Liutprand, poseł księcia Berengara, podaje w liście swoim, przytoczonym w jednej z kronik włoskich dwunastego wieku, ciekawy opis przyjęcia, jakiego doznał na dworze greckiego cesarza, Konstantyna. Opis ten dla charakterystyczności jego tutaj powtarzamy. „Dnia 10 Września przy końcu 10 stulecia, pisze Luitprand, przybyłem z posłem hiszpańskim do Konstantynopola i uzyskałem przyjęcie u cesarza. Konstantyn siedział w pysznej szacie na tronie olbrzymim, mającym po każdej stronie złotego lwa, jakoby na straży. W niejakiem oddaleniu, naprost cesarza, stało rozłożyste, mocno pozłacane drzewo, na którem wielka moc złotego ptactwa się znajdowała. Przy mojem zbliżeniu się do tronu zaryczały lwy złote a złote ptaki zaśpiewały. Nie dziwiłem się jednak temu, wiedząc ze słychu, że tak zwyczajnie przy podobnych okazjach bywa, a sztuki to są i kuglarstwo, nie zaś co innego! Pokłoniłem się trzykroć przed Potężnym, chyląc głowę do ziemi prawie. Gdym po trzecim pokłonie podniósł głowę, ujrzałem cesarza już w innych szatach i siedzącego nieomal pod samą powałą sali. Ukryta maszynerja widocznie to szybkie wzniesienie zdziałała. Konstantyn przemówił bardzo krótko, zaledwo raczył mnie spytać o zdrowie mego pana, i zamilkł, skinieniem ręki dając mi odprawę. Poseł hiszpański i od cesarza Ottona, którzy jednocześnie ze mną do Konstantynopola przybyli, przynieśli drogocenne podarki, ja zaś list tylko i to jeszcze kłamstw pełny. Myślałem, że umrę ze wstydu. Ażeby więc honor mego władzcy choć jako tako poratować, postanowiłem w imieniu jego wręczyć cesarzowi podarki pochodzące odemnie i pochlebnemi słowy wartość ich o ile możności powiększyć. Dar mój składał się z dziewięciu bardzo pięknie wyrobionych pancerzy, siedmiu tarczy ze złotemi naręczami, z dwóch wielkich srebnych puharów, mieczów, kopji, z czterech niewolników. Cesarz przyjąwszy to wdzięcznie, wezwał mnie do swego pałacu, rozmawiał ze mną kilkakroć, obdarzył mnie i świtę moją i zaprosił wreszcie do swego stołu. Obok Hippodromu znajduje się olbrzymi i okazały dom, Decaenna zwany; tu uczta się odbyła. Wszystkie naczynia były ze szczerego złota. Pod koniec wniesiono owoce w trzech koszach złocistych, których ciężar był tak wielki, że nie ludzie je dźwigali, jeno na małych, purpurą pokrytych wózkach do sali biesiadnej wtoczone zostały. Podczas uczty bawiono nas rozlicznemi igraszkami, z których jedna najosobliwszą mi się wydała. Wszedł na salę człek, dźwigający na skroniach, belkę 24 stóp długą a bardzo wąską bez pomocy rąk. Następnie dwaj chłopcy wdrapali się na tę belkę i poczęli na niej wyrabiać sztuki, które mnie wielkiem przejęły podziwieniem. Ponieważ nie mogłem ukryć tego uczucia, kazał mnie Konstantyn przez tłumacza spytać, czemu więcej się dziwuję: zręczności chłopców, czy sile mężczyzny, dzwigającego tak niezmierny ciężar. Odrzekłem, że zaiste nie wiem, komu prym oddać... — I ja tak samo — odrzekł cesarz i wybuchnął ogromnym śmiechem, któremu my wszyscy obecni z pokorą zawtórzyliśmy. Z czegośmy się jednak właściwie śmieli nigdym się nie mógł dowiedzieć ani domyślić. Sądzę tylko, że gdyby cesarz był kichnął, wszyscy bylibyśmy się starali go naśladować!“.

— Wiadomość o Wicie Stwoszu. W wydawanym obecnie w Lipsku Zbiorze kronik miast niemieckich znalazła pomieszczenie (tom XI) kronika norymbergskiego piwowara Henryka Deischlera (1430 — 1507), zawierająca pewne szczegóły, odnoszące się do ciemnej historji Wita Stwosza, mianowicie do sprawy o przypisywane mu sfałszowanie rewersu. Jakkolwiek przytoczony kronikarz wyraża się o wielkim naszym mistrzu w sposób wcale dlań niezaszczytny, przytaczamy tu w przekładzie jego słowa, jako wyrażające opinję o wspomnionej sprawie współczesnych. Oto co Deischler pisze pod d. 4 grudnia 1505 r.: „W poniedziałek w dzień ś. Barbary piętnowano Wita Stwosza na obu policzkach, tak jednak łagodnie, jak nikogo przedtem. Rzecz szła o 1300 złotych i miała się tak: Złożył on (Wit) tysiąc złotych u pewnego kupca, z zastrzeżeniem sobie udziału w zysku lub stracie; kupiec ów zwał się Jakób Paner, mieszkający przy ulicy Gilgen, w domu pod „Lwiemi głowami“. Kupiec następnie zerwał z nim spółkę, zwracając mu pieniądze z dodatkiem trzechset złotych, które niemi przez ten czas zarobił. Szczery Wit rzekł tedy do Panera: Wskaż mi, mój kochany, kogoś takiego, któremu mógłbym powierzyć te pieniądze, bo nie chciałbym, aby przepadły. — Paner wskazał mu więc Starzedella, który one 1300 złotych przyjął. Tenże sam Starzedell był winien 600 zł. Panerowi, który też od niego sumę tę jako zwrot swego długu odebrał. Otóż Starzedell zemknął, uniosłszy z sobą i owe 1300 złotych szczerego Wita. Wit wpadł tedy w złość i myślał nad tem, jakimby sposobem zmusić Panera do zwrócenia mu straconych pieniędzy w tem mniemaniu, że odsyłając go do Starzedella, postąpił sobie haniebnie i z zupełną świadomością o stratę pieniędzy go przyprawił. Zatem Wit przepisał posiadany rewers charakterem Panera, tak, że zupełnie jakby przez Panera napisany wyglądał, i podrobiwszy jego pieczęć, wycisnął ją na rewersie i żądał od Panera zwrotu owych 1300 złotych. Paner twierdził, że mu je oddał; Wit utrzymywał, że nieprawda i chciał mu tego dowieść posiadanym rewersem. Prawowali się tak z sobą z jakie dwa lata, aż w końcu Wit odpokutował za swe sprawy. I musiał przysiądz, że póki życia z miasta tego nie wyjdzie, i bardzo błagał, gdy mu chciano oczy wyłupić.“ Pod dniem 28 marca 1506 r. tenże sam kronikarz pisze: „Następnie w sobotę pojmano snycerza Wita, którego przedtem na policzkach piętnowano, gdy z kazania szedł do szpitala. Po upływie atoli tygodnia wypuszczono go bez ukarania.“ Inne źródło niemieckie wspomina, że Wit Stwosz „bez żadnych męczarni“ sam się do wszystkiego przyznał i że głównie wstawienie się biskupa würzburgskiego od śmierci go uratowało.

— Wielkie zajęcie budzi obecnie nowość w sztuce fotograficznej, pochodząca z Ameryki północnej. Tą nowością są „fotografje duchów“. podawane przez spirytystów jako niezbity i ostateczny dowód bezpośredniego stosunku duchowego świata z naszym. Czytaliśmy w jednem z amerykańskich pism obszerną i uczoną rozprawę, której przedmiotem podnieść ważność i uwydatnić spirytystyczne znaczenie owych fotografij. Tymczasem nie są one niczem innem, jeno oczywistym h u m b u g i e m, a manipulacja, za pośrednictwem której otrzymują się podobne fotografje, jest następująca: Na tle, przed którem osobistość fotografowana zasiada, maluje się poprzednio postać jakiegokolwiek ducha, roztworem siarczanu chininy. Malowidło to schnąc na tle jest niewidzialnem dla oka, odbija jednak promienie światła w taki sposób, że te działają na przyrządzoną sensytywnie płytę szklanną i sprawiają, iż obraz fotografowanej osoby tworzy się na płycie jednocześnie z obrazem wymalowanego na tle ducha a obecni widząc to nie pojmują właściwej przyczyny tego fenomenu.

— Lud całego świata widzi w księżycu i słońcu osobistości żywe, nie planety, czci je, odwołuje się do nich, wierzy w ich udział w szczęściu i nieszczęściu swojem, i przeraża się wielce każdym ich nie normalnym stanem. Szczególniej u narodów na niższym stopniu oświaty stojących zaćmienie słońca lub księżyca prawdziwą obudza trwogę. Indjanie sądzą, widząc księżyc lub słońce w zaćmieniu, że wielki wąż je pożera, — Hindusy, że olbrzym chwyta jedną z tych gwiazd i chce ją połknąć; — Chińczycy, pewni są, że smok ściga te planety. Grenlandczycy w czasie zaćmienia znoszą skrzynie i przyrządy rozliczne na dachy i czynią straszliwy hałas, jakby dla odstraszenia kogoś. Pewien angielski turysta opowiada o afrykańskich Maurach: — „Gdy zaćmienie słońca doszło do najwyższego stopnia, ujrzeliśmy naraz lud jakoby w szaleństwie przebiegający tam i sam po ulicach. Nieustająca kanonada ze strzelb i pistoletów huczała w powietrzu mając za cel odstraszyć potwór, który wedle mniemania mieszkańców gwiazdę dnia pożreć usiłował. Na równinach i wzgórzach Trypolisu brzmiał dźwięk śpiewu śmierci, a kobiety zniosłszy miedziane naczynia, robiły niemi hałas, dający się słyszeć o milę.“



Odpowiedzi Redakcji.

H. H. w Drohobyczy. List Pani zakomunikowaliśmy autorowi „Idealistów“. Po przeczytaniu prosił o dokładny adres, gdyż radby odpowiedzieć listownie. Prosimy więc o to w jego imieniu.

J. J. Ch. w Paryżu. Prenumerata „Tygodnia“ w całej Francji wynosi kwartalnie 10 franków, ponieważ koszta przesyłki są stosunkowo bardzo duże.

J. I. K. w Dreźnie. Pamiętniki Ignacego hr. Komorowskiego nie wyjdą w osobnej odbitce.

Treść Nr. 11.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).